

9-124/56

ZARANIE ŚLĄSKIE



ROK XV

ZESZYT 1

1124/56

Rysunek na pierwszej stronie okładki niniejszego zeszytu wykonał art.-mal. Jan Wałach z Istebnej, jako ilustrację do „Wesela górali istebniańskich” Jerzego Probo-
szą, wydane go przez Redakcję „Zarania Śląskiego”.

SPIS RZECZY

Gołąbek Józef, Łużyczenie w walce o narodowość	1
Dereżyński Mieczysław, Działacz śląski z niwy kujawskiej	10
Osmięczyk Edmund, Rodło na Zaolziu	15
Żelechowski Włodzimierz, Księżę pszczoł	16
Baranowicz Jan, Osobiste	27
Galicz Jan, O pracy naukowej w dawnych gimnazjach cieszyńskich	29
Ks. Badura Jerzy, Krok za krokiem w dół	33
Łyschorsky Óndra, Přemjéna	41
Materiały (Ogrodziński, Malicki, Świbianka, Sławiczek, Śpiewak, Wa- wrzynek)	42
Recenzje i sprawozdania	55
Kronika	68

29946/15-1939

„Zaranie Śląskie” jest wydawnictwem Instytutu Śląskiego w Katowicach i To-
warzystwa Ludoznawczego w Cieszynie

Redakcją kieruje komitet

III

w skład którego wchodzi: dr Roman Lutman, dyrektor Instytutu Śląskiego w Katowicach
i dyr. Franciszek Popiołek, prezes Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie

Sekretarz redakcji: **Ludwik Brożek**

Adres Redakcji: **Katowice**, ul. Marszałka Piłsudskiego 42

Adres Administracji: **Paweł Bociek**, **Cieszyn**, Stalmacha 30

Prenumerata wynosi rocznie 8 zł wraz z przesyłką pocztową

Cena numeru pojedynczego 2 zł

P. K. O. Katowice 308.084

Poszczególne egzemplarze zamawiać można w księgarniach T. Mikulskiego i Katolickiej w Kato-
wicach, w księgarniach „Dziedzictwa” i „Nowe Kresy” w Cieszynie, oraz księgarni Macierzy
Szkolnej w Cieszynie Zachodnim

Manuskryptów nie zwraca się

Druk wykonany czcionkami Drukarni „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra” w Cieszynie

15,00

Księg. Nr 16
Kcie 15 g. 2. 12. 56
14-60-27

ZARANIE ŚLĄSKIE

R. XV

BYTOM, CIESZYN, KATOWICE, ORŁOWA — 15 MARCA 1939

Z. 1

J. Gołąbek

Łużyczanie w walce o narodowość¹⁾

Nadszedł rok 1848, wiosna ludów i rewolucyj, początek demokracji. Prąd wolności, jaki przeszedł przez całą Europę, dał się odczuć również na Łużyczach. Początkowo zaznaczył się dość słabo, ponieważ Łużyczanie byli nieznaną grupą narodową, aby czuli się na siłach występować jako odrębny naród, mający prawo decydowania o sobie samym. Kiedy jednak w Niemczech ujawnił się ruch rewolucyjny, jedyne wówczas czasopismo łużyckie „Tydzenska Nowina” poczyną zabierać głos w kwestii praw narodowych. Najpierw entuzjazmuje się sprawą polską, pisząc o prawie Polaków do niepodległego bytu w związku z wyznaniem ówczesnych niemieckich demokratycznych patriotów, że rozbiór Polski był wielką dziejową zbrodnią, a następnie przechodzi do kwestii własnej ojczyzny.

¹⁾ Por. Zaranie Śląskie, r. XIV, z. 5, art. pt. „Łużyczanie do r. 1848”.

W artykułach, pisanych z gorącym patriotyzmem, porusza się przede wszystkim podział Łużyc w r. 1815, a raczej oderwanie poważnej ich części od Saksonii na rzecz Prus, a tym samym osłabienie siły narodowej Łużyczan. Takie stanowisko pociąga za sobą dążenie do zjednoczenia Łużyc pod jednym władcą, saskim. Akcję w duchu narodowym wzięła na siebie „Maćica Serbska”, której zarząd dnia 26 kwietnia uchwalił opracować memorandum do rządu saskiego w sprawie narodu łużyckiego.

Komitet, złożony z siedmiu osób, przystąpił do opracowania memorandum, któremu nadano tytuł: „Prostwa saksońskich Serbów na wusoke kralowske saksońskie zromadne ministerstwo”. Naród łużycki stoi na stanowisku wierności królowi i nierozdzielności z Saksonią, jednak żąda dla siebie zagwarantowania należnych mu praw. Żąda przeto, aby język łużycki nie był przesładowany, lecz aby go wprowadzono

do szkół, gdzie miałyby całkiem równorzędne prawa z językiem niemieckim, aby w gimnazjum i seminarium w Budziszynie wprowadzono jako przedmiot nauczania język łużycki. W tym języku powinny być wygłaszane kazania, podobnież duchowny winien w nim odprawiać modły, udzielać chrztu, ślubów itd., i oczywiście duchowni, którzy znajdują się w parafiach łużyckich, muszą znać język swych wiernych.

Co się tyczy sądownictwa, to wysunięto żądanie, aby władze stworzyły łużycki sąd, aby rozprawy toczyły się po łużycku i aby wszelkie prawa i rozporządzenia były tłumaczone przez zaprzysiężonego tłumacza na język łużycki. Jak z tego widzimy, żądania Łużyczan były aż nadto skromne i umiarkowane, ale w każdym razie posuwały naprzód kwestię narodową. Równocześnie za sprawą J. Ern. Smolerja sejm niemiecki, obradujący we Frankfurcie nad Menem, zainteresował się położeniem Łużyczan i w związku z tym wydał enuncjację ogólną 31 maja, że niemieckim narodom, należącym do związku niemieckiego, przyznaje się pełne prawa, aby mogły rozwijać się w duchu własnej narodowości, aby ich ojczysty język miał swobodę w kościele, szkole, literaturze, sprawach wewnętrznej administracji na tych obszarach, na których jest używany język danego narodu.

Równocześnie deputacja przedstawiła memorandum saskiemu prezesowi rady ministrów i królowi, i otrzymała zapewnienie co do przychylnego rozpatrzenia „Prostwa” narodu łużyckiego, zaopatrzonego podpisami pięciu tysięcy osób. Tego rodzaju stan rzeczy pobudził lud serbski do organizowania się i wysuwania postulatów społecznych, które nie miały widoków powodzenia, natomiast zdawało się, iż Łużyczanie

osiągną pewne korzyści w dziedzinie politycznej, co też skłoniło ich do stawiania kandydatów na posłów do saskiego parlamentu. Tymczasem sprawa przyznania pewnych ustępstw narodowych na rzecz Łużyczan poczęła się komplikować, zwłaszcza że w Saksonii po kilku miesiącach republikańskich swobód nastąpiła reakcja, która pociągnęła za sobą rozwiązanie sejmu w Dreźnie dnia 30 kwietnia 1849 r.

Następstwem tego był wybuch rewolucji dnia 3 maja. Nie trwała ona długo, bo tylko sześć dni, a stłumienie jej wzmocniło stanowisko króla. Wodzowie rewolucji usiłowali również pozyskać dla siebie Łużyczan, a w celu rozwinięcia agitacji przybył z Drezna do Budziszyna rosyjski rewolucjonista Michał Bakunin i wszedł w rozmowę z Janem Ernestem Smolerjem, redaktorem czasopisma „Tydźenske Nowiny”. Rewolucja w Łużycach według planu Bakunina miała się skoncentrować na miejscu i ujawnić napadem ze strony ludu łużyckiego na majątki ziemskie. Ale Smoleń uznał za niepotrzebne, a nawet szkodliwe przyłączenie się narodu łużyckiego do rewolucyjnej działalności, toteż usiłowania Bakunina spotkały się z całkowitym niepowodzeniem.

Niewzięcie udziału Łużyczan w rewolucji sprawiło to, iż król saski wyraził im podziękowanie za wierność, a jego syn Albert, który był przydzielony do służby wojskowej do Budziszyna, postanowił uczyć się języka łużyckiego, przy czym na nauczyciela zaprosił J. E. Smolerja.

Jednakże sprawa swobód narodowych nie stanęła tak dobrze, jak się tego mogli spodziewać Łużyczanie. Niemniej jednak uwzględniono częściowo ich postulaty, a mianowicie na mocy rozporządzenia królewskiego z dnia 28

sierpnia 1849 r. uzyskali to, iż wolno było uczyć się języka łużyckiego w szkołach, gdzie są dzieci łużyckie, podobnie w kościele można było używać języka łużyckiego, a wreszcie w sądzie wolno było posługiwać się tym językiem, ponieważ powołano zaprzysiężonych tłumaczy.

Od r. 1851 zezwolono na wprowadzenie do gimnazjum, jak również do katolickiego krajnostawskiego seminarium w Budziszynie języka łużyckiego jako przedmiotu nadobowiązkowego. Nie było to zbyt wiele, w każdym jednak razie zapewnienie choćby tylko tego rodzaju swobód dało powód do rozwoju literatury narodowej i czasopiśmiennictwa. W latach późniejszych owe swobody poczynają się kurczyć stopniowo, w każdym jednak razie nie doszło nigdy do tego, by w zupełności ograniczono usiłowania narodowe.

Gorzej natomiast przedstawiała się sprawa w pruskich Łużycach. I tu co prawda, zwłaszcza w Górnych Łużycach, przejawiało się dążenie do wolności, które przeniosło się również do Dolnych Łużyc, gdzie w r. 1848 poczęło wychodzić czasopismo „Bramborski Serbski Casnik” (Pruska Serbska Gazeta), lecz tu nie było ludzi, którzy by stanęli na czele narodu i pokierowali jego ruchem, a równocześnie rząd pruski nie ujawniał żadnej ochoty do jakichkolwiek ustępstw. Toteż, kiedy w saskich Łużycach wytworzyły się do pewnego stopnia przyjazne stosunki dla rozwoju narodowego, jakkolwiek i na to nie bardzo można było liczyć, to w pruskich Łużycach rozpoczyna się właśnie od r. 1848 coraz większy ucisk, zwłaszcza germanizacja przez szkoły, która bez zmian utrzymuje się do dnia dzisiejszego. Naprawdę godzien podziwu niewielki naród, który pomimo bezwzględного ucisku, jaki panuje

w Prusach, potrafił jeszcze do dnia dzisiejszego zachować swoją narodowość, nadwątloną co prawda, ale jeszcze trwającą niezłomnie.

Wprawdzie następowały pewne przerwy w tym działaniu wynaradawiającym, lecz nie zmieniły planowości germanizacji. Poważnym niebezpieczeństwem dla pruskich Łużyc stało się to, iż tam Prusacy zaczęli tworzyć wielki przemysł, co pociągnęło za sobą napływ obcego elementu, który demoralizował ludność wiejską, przeważnie zresztą dość zamożną.

Wojna światowa stała się znów poważnym ciosem dla Łużyczan, wielu z nich musiało brać w niej udział, wobec czego zabrakło działaczy, a wielu poniosło śmierć na polu walki. Brak inteligencji odbił się poważnie na ruchu umysłowym, szczególnie wydawniczym, ponieważ nie było ani środków, ani ludzi. Toteż istniejące do wojny czasopisma poczęły ukazywać się nieregularnie, a następnie niektóre upadać; tak więc w r. 1916 przestaje wychodzić miesięcznik literacki „Łužica”, redagowany bardzo starannie, dopiero w r. 1921 rozpoczęto znów wydawanie tego czasopisma. Tymczasem na ziemiach łużyckich zaczął się ucisk, który się odbił głównie na szkolnictwie.

W ostatnich miesiącach wojny światowej zrodziła się w Czechach myśl, aby i Łużyce przydzielić do mającego powstać państwa czeskiego. Sprawę tę poruszał głównie Adolf Černý, wielki przyjaciel Łużyczan, który też wkrótce po powstaniu państwa czechosłowackiego ogłosił książkę z szeregiem artykułów pt. „Lužická otázka”. Černý pierwszy zabrał głos w sprawie łużyckiej i sformułował swoje stanowisko w ten sposób: „Najlepszą gwarancją dla łużyckich Serbów byłoby przyłączenie ich do państwa czechosłowac-

kiego. Gdyby jednak nie można było osiągnąć tego, aby jako wyspa narodo-
wa byli złączeni z ziemią czeską, do któ-
rej niegdyś należeli, i z narodem czes-
kosłowackim, któremu są językiem
najbliżsi, tak że razem z nim obok na-
rodu polskiego tworzą jednolitą zacho-
dnio-słowiańską grupę językową, mu-
szą otrzymać od kongresu pokojowego
pełną moc swych praw w zjednoczo-
nym, jednolitym pod względem praw-
nym obszarze w zjednoczonych, nie-
rozdzielnych Łużycach. Obszar tej sa-
moistnej całości wyznaczy etnograficz-
na granica łużycko-serbska i to w ten
sposób, aby łużyccy Serbowie mieli mo-
żliwość zabezpieczenia również swoich
wszystkich mniejszości, które się dopie-
ro stały mniejszościami w niedawnej
dobie w ostatnich dziesięcioleciach. W
tych to granicach, odpowiadających
granicom czysto serbskiego obszaru
z r. 1884, muszą łużyccy Serbowie
otrzymać gwarancję, że wszystkie ich
sprawy narodowe będą kierowane
przez własny sejm." [Lužická otázka
(Sprawa łużycka) Pilzno 1918, str.
103.]

W samych Łużycach przebieg wojny
śledził pilnie działacz narodowy Ernest
Bart, który 3 kwietnia 1918 r. wygło-
sił na zgromadzeniu Serbskiej Macie-
rzy w Budziszynie płomienną mowę
o zachowaniu i ratowaniu ziemi łuży-
ckiej. Następnie w „Serbskich Nowi-
nach” ogłaszał artykuły, w których sta-
le podkreślał, iż czas, by Łużyczanie
pomyśleli o swoim niezawisłym bycie,
a równocześnie jako poseł do sejmu sa-
skiego oświadczył w izbie sejmowej,
poparty przez drugiego posła Michała
Koklę dnia 4 listopada, że Łużyczanie
nie chcą zrezygnować ze swej narodo-
wości, lecz żądają dla siebie praw, któ-
re im zagwarantowano w r. 1848, a któ-
rych nie wykonano, a nawet od r. 1873
poczęto germanizować Łużyczan, przy

czym w następnych latach germaniza-
cja stawała się coraz gwałtowniejsza
i nie ustała do czasów wojny.

Po klęsce Niemiec zawiązuje się 13
listopada 1918 r. w Budziszynie „Na-
rodny Wubjerk” (Narodowy Komitet),
który przystąpił do energicznej działal-
ności w całych Łużycach.

Niebawem, bo 17 listopada zwołał
Bart polityczne zebranie do Bukec, na
którym wysunięto trzy bardzo ważne
punkty, że Łużyczanie nie wyrzekną się
swej narodowości, że w celu jej zacho-
wania zjednoczą się z każdym, kto im
zaruczy spokojny rozwój wewnątrz ich
ziemi, a dla osiągnięcia tego celu ma
powstać „Serbski Zwjazz”, który by
złączył cały naród łużycki w silną or-
ganizację. Dnia 20 listopada odbywa się
wielkie zgromadzenie w największej
wsi łużyckiej, Khróścicach, gdzie się za-
wiązuje istotnie „Serbski Związek”.
Tegoż samego dnia uchwalono bardzo
znamienną rezolucję, w której zebrani
przedstawiciele narodu łużyckiego
oświadczyli, iż na zasadzie prawa sta-
nowienia o sobie narodu postanawiają
sami zadecydować o losie Łużyc, które
mają mieć samodzielność. W celu
usankcjonowania tak doniosłej uchwa-
ły uważają za konieczne wysłanie de-
legata na konferencję pokojową.

Niemcy, zaniepokojeni tym dąże-
niem, poczęli czynić Łużyczanom róż-
ne nadzieje i obietnice, ale z tym, żeby
Czesi nie wtrącali się do ich spraw i nie
chcieli przyłączyć Łużyc do swego pań-
stwa.

Tymczasem odbywały się wszędzie
liczne zebrania, pełne zapału i podnie-
cenia, nawet wiary w sprawiedliwość
przeznaczenia i wszędzie powoływano
się na zdanie Wilsona, że każdemu, na-
wet najmniejszemu narodowi mają być
zachowane jego prawa. Żywiąc wielkie
w tym kierunku nadzieje, wydał „Na-

rodny Wubjerk” z początkiem 1919 r. proklamację, w której żądał na podstawie zasad Wilsona samostanowienia państwa łużyckiego, ponieważ Łużycanie są odrębnym narodem słowiańskim. Proklamację ogłoszono w gazetach i w specjalnych ulotkach. Dnia 6 stycznia 1919 r. udał się z delegacją czeską na konferencję pokojową Adolf Černý, który miał występować w obronie interesów łużyckich, niebawem przybyli łużyccy delegaci Ernest Bart i Jan Bryl, aby wspólnie z Černým działać dalej. Sprawę łużycką poruszył na pokojowej konferencji w mowie swojej dr Edward Beneš dnia 5 lutego 1919 r.

Wystąpienie Beneša w sprawie Łużyc zachęciło tragiczny naród do dalszej akcji, toteż w szeregu ulotek określali ściśle swoje żądania: aby mianowicie Górne i Dolne Łużyce zostały zjednoczone w odrębne państwo, w którym obowiązywałaby powszechna znajomość języka krajowego, aby w tym języku uczono w szkołach, w których ma swoje uzasadnione miejsce język niemiecki, aby powstały łużyckie szkoły średnie, aby język łużycki został wprowadzony do całego życia publicznego. Samo przez się zrozumiałe, iż wysunięto również żądanie zwołania łużyckiego sejmiku, stworzenia straży narodowej i niezależności przemysłu i handlu. Dążenia te znalazły potwierdzenie na zgromadzeniu narodu łużyckiego dnia 15 marca 1919 r. Tutaj też wypowiedziano stanowczą wiarę w sprawiedliwość Konferencji Pokojowej, a równocześnie nieufność co do obietnic i ustępstw niemieckich.

Bardzo stanowcza akcja Łużyczan w kraju i usiłowania ich przedstawicieli w kierunku zainteresowania Konferencji Pokojowej spowodowały ze strony Niemców reakcję, rozpoczęły się mianowicie aresztowania wybitniej-

szych działaczy. Takie postępowanie wywołało bardzo energiczny protest, który znalazł najwyższy wyraz w maju, gdy przybył z Paryża Bryl, który budził w narodzie nadzieję, że sprawa łużycka musi wejść na porządek obrad pokojowych.

Stało się wszakże inaczej, mianowicie Konferencja Pokojowa nie uwzględniła ani rezolucji Beneša w sprawie łużyckiej, ani petycji łużyckich przedstawicieli. Jedynie uwzględniono to, co postanowiono w ogóle w stosunku do narodowych mniejszości, a mianowicie gwarancję swobodnego rozwoju na polu duchowym, religijnym i kulturalnym. Toteż delegaci łużyccy musieli zrezygnować ze swego stanowiska odnośnie do niepodległości Łużyc lub przyłączenia ich do Czech, a natomiast 17 czerwca posłał Bart rządowi niemieckiemu inne żądania, a mianowicie zjednoczenia Łużyc w odrębną prowincję, w której byłoby równouprawnienie języka łużyckiego i niemieckiego, gdzie istniałby własny sejm łużycki, jak również swobody co do narodowego, religijnego i kulturalnego rozwoju. Co prawda Niemcy nie byli zdecydowani robić Łużyczanom ustępstwa, zgodzili się jednakże na stworzenie przez Serbski Związek komisji porozumiewawczej, która też we wrześniu rozpoczęła działalność, a przede wszystkim wystąpiła ze stanowczym protestem przeciw aresztowaniu Barta w chwili, gdy w powrocie do kraju znalazł się na granicy. Jako powód aresztowania podano artykuł w „Matin” z 15 kwietnia 1919 r., z którego wynikało, że Bart miał udzielić informacji Entencie, iż Niemcy mobilizują się na nowo i zamierzają napaść na Czechosłowację i na Polskę. Komisja ta wysunęła również sprawę stworzenia łużyckiego stronnictwa, które ma nosić nazwę „Łużiska ludowa strona”. Ona również

przedłożyła postulaty co do Łużyc rządowi niemieckiemu, który nie zaspokoił żądań Łużyczan, a tylko wydał ustawę, na mocy której język łużycki w obszarach łużyckich ma mieć w życiu publicznym równouprawnienie z językiem niemieckim. Ustawa ta jednak była czysto papierowa i nigdy nie weszła w życie, wobec czego wszystko pozostało po dawnemu.

Tymczasem „Serbski Narodny Wubjerk” pracował dalej, a więc założył „Serbske Hospodarske Towarstwo”, które miało na celu gospodarcze podniesienie ludu łużyckiego, również w r. 1919 zawiązuje się „Serbska Nalutowańja” (Łużycka Kasa Oszczędności), a zarazem „Serbska ludowa banka”, która to instytucja zbankrutowała przed kilku laty, wreszcie powstaje towarzystwo dziennikarskie „Serbska Łužica”, które zakupiło drukarnię łużycką Smolerja (Smolerjec knihčišćefnja a knihajnja) i przystąpiło do wydawania tygodnika „Serbskich Nowin”, jako dziennika.

Warunki, jakie się wytworzyły dzięki klęsce Niemiec, ułatwiły Łużyczanom pracę w kierunku narodowym, pomimo że Niemcy przeciwdziałali bardzo energicznie. Tak więc „Serbske Nowiny” pojawiały się jako dziennik, a równocześnie od marca 1920 wychodził w Białej Wodzie „Serbski Dženik”, jako organ „Łużyckiego stronnictwa ludowego”, organem „Serbskeho Narodneho Wubjerk” obok „Serbskich Nowin” stało się „Serbske Słowo”, a w Pradze pojawiał się „Českoserbski Věstnik” po czesku i łużycku. Poza tym Wubjerk wydał kilka książek.

Równolegle z tym rozwija energiczną działalność naukową „Maćica Serbska”, jak również młodzież uniwersytecka, która w r. 1919 zawiązała „Zwjazk Serbskeho Studenstwa”

i poczęła wydawać czasopismo „Serbski Student”. Młodzież ta postanawia pogłębić znajomość mowy ojczystej, a równocześnie przez odczyty w całych Łużycach podtrzymywać wśród ziomków narodowość.

Podobnie łużyckie nauczycielstwo utworzyło dnia 26 marca 1920 r. związek pt. „Swobodne zjednoćenstwo serbskich wučerjow”, które postawiło sobie za cel dążenie do wprowadzenia nauki języka łużyckiego w szkołach całych Łużyc.

Tymczasem Niemcy wytoczyli oskarżenie przeciw Ernestowi Bartowi jako zdrajcy i zasądzi go na trzy lata więzienia. Przeciw temu podniosły się protesty w prasie krajowej, czeskiej i francuskiej, lecz to nic nie pomogło, a tylko dało dowód, że Niemcy nie okażą się zbyt skore do ustępstwa na rzecz Łużyczan.

Wprawdzie była pewna grupa Łużyczan, która nie podzielała dążeń Barta, jego polityki i bardzo ścisłego kontaktu z Czechami, ponieważ to wszystko przynosi szkodę narodowi, a wcale nie posuwa jego dążeń naprzód, lecz pomimo tego jego polityczny kierunek utrzymał się dość długo.

Stąd też różnego rodzaju deklaracje pewnej grupy Łużyczan, iż stoją na stanowisku absolutnej lojalności w stosunku do państwa niemieckiego i pragną tylko zachowania swego języka i narodowości, nie budziły wiary wśród Niemców, którzy stale atakowali Łużyczan, iż są w tajnym przymierzu z Czechami, a tym samym należy ich uważać za zdrajców i za rozkładowy czynnik w państwie niemieckim. Staje się przeto jasne, że stałe wysuwanie tego rodzaju argumentów ułatwia stosowanie represyj, których Niemcy wcale nie szczędzili. Jeżeli już nie było możliwości przytłumić dążeń narodowych,

to nie było przeszkód niszczenia Łużyczan pod względem ekonomicznym, co się okazało również bardzo dobrym środkiem wynaradawiającym, ponieważ utrata podstaw bytu zmuszała ludzi siłą rzeczy do deklarowania się ku niemieckiej narodowości. Ta droga nie mogła wywołać sprzeciwów i skarg, ponieważ w tym względzie nie stosowano przymusowych środków, sama bowiem potrzeba była dostatecznym środkiem wynaradawiającym.

Najbardziej tragicznym momentem dla Łużyc był przewrót w Niemczech w r. 1933, wówczas bowiem nastąpiło zamknięcie wielu wydawnictw, a przywódcy narodowi dostali się do więzienia.

Jednak zmiana na lepsze nastąpiła od maja r. 1933, od przemówienia Hitlera, że jego rząd nie chce nikogo germanizować i daje innym narodom pewne swobody. Niebawem zwolniono wszystkich z więzienia, a zasada hitlerowska dała powód do wzmożonej działalności, zwłaszcza że jego hasło: czerpania sił narodowych z pokładów kultury ludowej (Volkstum) mogła znaleźć u ludu łużyckiego poważne zastosowanie, ponieważ zachował on do dnia dzisiejszego w szerokiej mierze obyczaj i tradycję ludową, słowiańską. Kierownictwo sprawami narodowymi wzięła na siebie „Domowina”, naczelna organizacja narodowa. Na prezesa „Domowiny” powołano młodego nauczyciela, Pawła Nedę, który nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Pracy swojej nad zjednoczeniem i utrzymaniem narodowości łużyckiej oddał się z całą energią i zapałem, a równocześnie wiarą w zrealizowanie swego zamierzenia. Te wartości zjednały mu powszechną sympatię w narodzie, a zarazem szacunek ze strony władz niemieckich.

Najdonioślejszym, a równocześnie o wielkiej wartości historycznej faktem było złożenie przez „Domowinę” na żądanie ministerstwa spraw wewnętrznych w lutym 1935 r. memorandum narodu łużyckiego, skierowanego do kanclerza Niemiec i rządu. Memorandum owo (Memorandum zur volkstumpolitischen Lage nebst Vorschlägen zu ihrer Aenderung), ogłoszone drukiem, wysunęło daleko idące wnioski co do zawarowania praw narodowych Łużyczanom. Autorowie stwierdzili, że w Saksonii sprawa szkolnictwa łużyckiego została uregulowana ustawą przejściową z dnia 22 lipca 1919 r. Na jej zasadzie ma obowiązywać w szkołach czysto łużyckich i mieszanych dokładne poznanie języka niemieckiego, jednak dzieciom łużyckim winna być udzielana nauka czytania i pisanie w ich języku ojczystym, jak również winny one poznać pieśni dla dzieci i dla ludu. Nauka ta obowiązuje na wszystkich stopniach szkoły powszechnej. W Prusach ma obowiązywać ustawa z dnia 29 grudnia 1920 r., która uznaje, że szkoły z łużyckimi dziećmi otrzymują takie same przywileje, jak szkoły z dziećmi polskimi. Jednakże ani jedna ani druga ustawa nie została wprowadzona w życie, a o ile do pewnego stopnia przestrzega się jej w Saksonii, to w Prusach nie było ani jednej szkoły łużyckiej, a nauczycielom łużyckim nie dawało się możliwości opanowania swego języka, ponieważ nie uczą go w żadnym seminarium. W Saksonii nie było ani jednej czysto łużyckiej szkoły, a od nauczycieli nie wymagało się znajomości języka łużyckiego i w ogóle pod tym względem nie przeprowadzali inspektorowie żadnej kontroli, ponieważ sami go nie znają. Inspektorowie też decydują o rodzaju szkół, przy czym nigdzie nie zaszedł wypadek, aby jakąś szkołę uznali za czysto łużycką, gdzie

mogliby otrzymać posadę wyłącznie nauczyciele łużyckiej narodowości. Jeżeli chodzi o szkolnictwo średnie, to tylko w gimnazjum budziszyńskim wprowadzono dwie godziny tygodniowo nauki języka łużyckiego nadobowiązkowo, ale nikt nie przestrzegał, by uczono tego przedmiotu.

Jak z tego widać, sprawa nie została należycie uregulowana, dlatego nikt się nie uczy języka łużyckiego, a równocześnie ubywa ilość nauczycieli łużyckiej narodowości, ponieważ po ukończeniu gimnazjum nie są dopuszczani wobec „*numerus clausus*” do Instytutu Pedagogicznego, a wykluczone jest, aby mogli liczyć na jakiegokolwiek stypendium.

Wobec tego autorowie memorandum proponują, aby przenieść z czysto niemieckich miejscowości nauczycieli Łużyczan na obszar łużycki, aby urządzić dla nich bezpłatny kurs języka, literatury i etnografii łużyckiej, aby wprowadzić do szkół mieszanych naukę języka ojczystego dla dzieci łużyckich, aby od razu podjąć wykształcenie nauczycieli przez otwarcie w gimnazjach w Budziszyńie i Chociebieżu równoległej klasy dla Łużyczan, aby im wyznaczyć dla umożliwienia wykształcenia odpowiednie stypendia, aby w uniwersytetach stworzyć lektorat języka łużyckiego, ustanowić z niego egzaminy, przygotować program nauczania języka łużyckiego w szkołach i wreszcie odebrać inspektorom prawo decydowania, jaka ma być szkoła, a pozostawić w tej sprawie decyzję krajowemu zarządowi szkolnemu.

Co się tyczy młodzieży łużyckiej, to nie posiada ona żadnej własnej organizacji, ani nie ma instytucji, która by tę młodzież wychowywała w duchu łużyckiej ludowości; jest ona przydzielona do młodzieży niemieckiej, tymczasem

powinna istnieć organizacja, która by pracowała w tym kierunku, aby młodzi Łużyczanie pielęgnowali własną pieśń i własne obyczaje ludowe.

W części śląskiej Łużyc — czytamy dalej w memorandum — rozwinął się przemysł węglowy, wskutek czego zniszczono całe wsie łużyckie, ale nie dawano innych obszarów, przez co też lud tych okolic został rozbity i zamieniony w proletariat. W celu zapobieżenia tego rodzaju wyniszczaniu ludności należałoby tworzyć dla niej nowe obszary osiedlenia.

Wreszcie poruszono sprawę łużyckiej kultury. Łużyczanie posiadają swoją kulturą, prasę, literaturę, naukowe czasopiśmiennictwo, muzykę, ale nie mają środków w celu zachowania tych dóbr duchowych. Toteż nie mogą podejmować różnych wydawnictw, a czynią to za nich obcy bez pożytku dla Łużyczan, a ze szkodą dla państwa niemieckiego. Za tę działalność czyniono często odpowiedzialnymi Łużyczan, jakkolwiek nie mieli oni wpływu na powstanie różnych dzieł poza granicami kraju.

W Łużycach nie ma nikogo, kto by się mógł spokojnie poświęcić pracy w dziedzinie kultury, ponieważ ta praca nie może zapewnić chociażby skromnego utrzymania. Toteż państwo niemieckie, stojące na stanowisku popierania kultury ludowej, winno przyjąć narodowi łużyckiemu z pomocą przez udzielenie odpowiedniej subwencji, która winna być przyznana, ponieważ Łużyczanie są pełnoprawnymi obywatelami państwa niemieckiego, którzy lojalnie wykonywują nakładane na nich obowiązki.

Poza omówionym memorandum przedłożyła „Domowina” rządowi niemieckiemu projekt nowej organizacji administracyjnej Łużyc (*Vorschlag*

zur Zusammenfassung des Volkstumgebietes innerhalb eines Reichsgaues). „Domowina”, jako organizacja ludowa Serbów łużyckich prosi o stworzenie z Łużyc odrębnej gminy państwowej (Reichsgau). Obecnie należą Łużyczanie do dwóch państw: Saksonii i Prus i tu są rozdzieleni między różne prowincje, np. w Prusach część należy do Śląska, a część do Brandenburgii. W dalszym ciągu podają autorowie krótki zarys historyczny Łużyc i stwierdzają, że zawsze wypełniali Łużyczanie obowiązki państwowe. Obecnie opierają swoją siłę na ludzie, wykazują wolę do życia i rozwoju narodowego, który jest bardzo utrudniony przez to, iż obszar ich został rozdarty, wskutek czego podlegają różnym zarządom administracyjnym. Jednolita łużycka gmina państwowa, jednocząca w jedną całość Łużycę pod nazwą „Reichsgau Lausitz”, może się okazać również pod względem gospodarczym bardzo pożyteczna.

Było pewne, że rząd niemiecki nie spełni choćby w połowie życzeń narodu łużyckiego. W każdym razie tak daleko posunięte żądania „Domowiny” dowodzą, iż tak mały naród pragnie żyć i ujawniać energię życiową.

Odpowiedź czy reakcja na żądania Łużyczan nie przysłała od razu. Dopiero ciężkim okazał się rok 1937, kiedy rząd niemiecki zdecydował się na zupełne stłumienie jakichkolwiek dążeń narodowych tego narodu słowiańskiego, liczącego nie więcej ponad 150

tysięcy osób. Zaczęło się od aresztowania studenta Měrcinka, oskarżonego o przewożenie pieniężnej pomocy dla drukarni łużyckiej w Budziszynie. Niebawem też aresztowano i uwięziono właściciela tej drukarni dr Jana Cyża, przy czym obu oskarżono o zdradę stanu. W styczniu w r. 1938 aresztowano łużyckiego literata i dziennikarza Jana Skalę, a w stosunku do innych działaczy zastosowano represję, jak np. Nedę przeniesiono na posadę nauczyciela w głąb Niemiec.

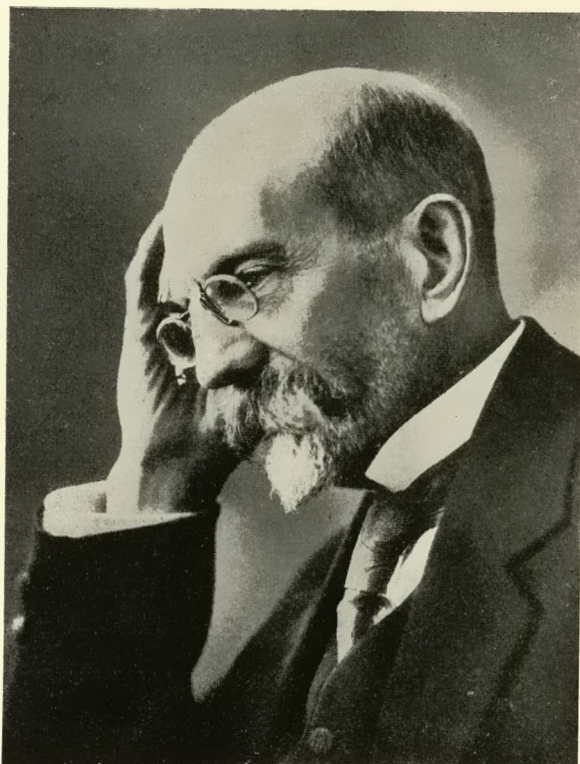
Równocześnie władze zamknęły i opieczętowały łużycką drukarnię i księgarnię w Budziszynie, książki zostały wywiezione; podobnie zahamowano działalność „Serbskiej Maćicy”, wskutek czego zniszczono łużycki ruch naukowy. Samo przez się oczywiste, że tego rodzaju represje spowodowały upadek prasy łużyckiej, przestał się więc ukazywać dziennik „Serbske Nowiny”, tygodnik „Pomhaj Boh”, miesięcznik „Łužica”, „Naša Domowina”, „Serbski Student”, „Missionski Posoł”, „Časopis Maćicy Serbskeje”.

Tego rodzaju stan, trwający około dwóch lat, spowodował całkowite zniszczenie narodowego i kulturalnego życia Łużyczan i nie ma widoków, by nastąpiła jakaś zmiana na lepsze. Nie wiadomo, jaki los przyniosą Łużyczanom następne dzieje, w każdym razie godny podziwu jest ten mały naród, który pomimo ucisku i prześladowań zachował dużo mocy żywotnej i nie rezygnuje ze swej narodowości.

Mieczysław Dereżyński

Działacz śląski z niwy kujawskiej

(Wspomnienie o Bronisławie Koraszewskim w 75-lecie Jego urodzin)



Wśród Wielkopolan, działających w czasie niewoli naszej na Górnym Śląsku, zaszczytnie wyróżnił się redaktor Bronisław Koraszewski, Kujawianin, kolega serdeczny Jana Kasprowicza, uzdolniony pisarz i zapalony społecznik, ruchliwy działacz polityczny, więziony niejednokrotnie przez władze pruskie za śmiałe swe wystąpienia w obronie polskości.

Bronisław Koraszewski urodził się w majątku rodzinnym Kijewicach pod Strzelnem, niedaleko Gopła, dnia 15 lu-

tego 1864 r. z ojca Dominika i matki Marianny z Białkowskich. Uczęszczał do gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu, gdzie był członkiem tajnego kółka literackiego, którym kierował właśnie Jan Kasprowicz. Ostatnią klasę ukończył w Zgorzelicach na Dolnym Śląsku, lecz do matury nie przystąpił, gdyż porwał go wir pracy narodowej.

Jako młody, pełen ochoty i zapału dziennikarz założył w roku 1888 w Królewskiej Hucie wraz z kilku rodakami ze stanu średniego pismo po-

pularne pt. „Głos Ludu Górnośląskiego”, które, jakkolwiek dobrze redagowane, dla braku odpowiednich funduszków i zbyt groźnej konkurencji bliskiego, a dobrze zaprowadzonego „Katolika” nie istniało długo. Do upadku pisma przyczynił się też w znacznej mierze kosztowny proces prasowy, jaki wytoczono Koraszewskiemu za zbyt śmiałą krytykę jednego z niekorzystnych dla ludu górnośląskiego praw niemieckich. Pismo padło, a redaktor odsiedział 10 dni w więzieniu. W Królewskiej Hucie pracował Koraszewski również społecznie, udzielając się głównie wraz z Juliuszem Ligoniem i J. Szaflikiem pracy w Kołku Towarzyskim.

Po pierwszych niepowodzeniach publicystycznych przenosi się Koraszewski do Bytomia i pracuje w redakcji „Katolika”. Tu zakłada wspólnie z Adamem Napieralskim — Związek Wzajemnej Pomocy Robotników Górnośląskich, który wnet zyskuje tysiące członków, stanowiąc ważny punkt oparcia w walce ludu roboczego z kapitałem niemieckim. Ale i w Bytomiu Koraszewski nie zabawił długo; Opatrzność do innego, ważniejszego powołała go zadania. O początkach swej pracy na G. Śląsku wspomina Koraszewski w artykule na jubileusz 25-lecia „Gazety Opolskiej” (w r. 1915, nr 153) następująco:

„Na Górny Śląsk przybyłem na stałe 22 marca 1888. Na kilka lat przedtem byłem jednak już kilka dni w Raciborzu i poznałem tam pana doktora Rostka, którego mi zalecił odwiedzić kolega mój starszy z gimnazjum w Poznaniu, Jan Kasprówicz, dzisiejszy znany poeta. Pan dr. Rostek przyjął mnie nadzwyczaj gościnnie i serdecznie, lecz nie miałem przyjemności długo z nim rozmawiać, gdyż właśnie wyjeżdżał na ślub swój do Poznania. W Raciborzu miałem zamiar wstąpić do wyższej pry-

my tamtejszego gimnazjum; byłem już przez dyrektora przyjęty, lecz z pewnych politycznych względów (nie dotyczących wszakże mojej osoby) odradzono mi uczęszczać do tego gimnazjum.

W dniu 22. marca 1888 r. wstąpiłem jako pomocnik do księgarni filjalnej w Król. Hucie, należącej do księgarza p. Twardowskiego w Poznaniu. Następnie objąłem redakcję „Górnoślązaka”, wydawanego również przez p. T. Gazeta ta przeszła ostatecznie na własność ks. Przyniczyńskiego, pod zmienioną nazwą „Głos Ludu Górnośląskiego”, a ja otrzymałem stanowisko w redakcji „Katolika”.

W Królewskiej Hucie nie było polskiej inteligencji z wyjątkiem pana Szaflika, subdyrektora „Westy” poznańskiej, z którym co niedzielę bywaliśmy w tamtejszym „Kółku towarzyskim” i miewaliśmy odczyty i wykłady. — Z Królewskiej Huty byłem powtórnie w odwiedzinach u p. dra Rostka w Raciborzu, gdzie zawsze gościnnie przyjmowany, na miłej rozmowie z nim i jego żoną czas spędziłem.

W Bytomiu zastałem już większy ruch i więcej towarzystwa. Pracowałem wspólnie z p. Napieralskim jako drugi redaktor. W Towarzystwach naszych bywałem z panem Józefem Gallusem, Sztykowskim (z drukarni „Katolika”) i innymi.

Do założenia „Gazety” w Opolu zachęciło mnie kilku wybitnych przedstawicieli naszego społeczeństwa.”

Okolice Opola, najbardziej polska na całym Górnym Śląsku, nie posiadała wówczas ani polskiego pisma, ani żadnego innego ogniska, około którego mogłyby się skupić żywioły narodowe. Coraz częściej odzywały się stamtąd głosy walczącego o język swój i narodowość ludu śląskiego o przewodnika. Koraszewski dał posłuch tym wezwa-

niom i przeniósł się do Opola, gdzie w październiku 1890 r. założył pismo ludowe pn. „Gazeta Opolska”, którą wydawał i redagował z górą 30 lat.

„Gazeta Opolska” ukazywała się co wtorek i piątek w formie dużej ćwiartki w objętości 4 stron. W podtytule zaznaczono, że jest to „pismo polityczne dla ludu polsko-katolickiego”. Do numeru piątkowego dołączono bezpłatnie dodatek pt. „Gość niedzielny”. Prenumerata kwartalna pisma wraz z powyższym dodatkiem wynosiła przed wojną 1,00 mk., a wraz z pismem gospodarczym pt. „Rolnik” 1,25 mk. Redakcja, ekspedycja i drukarnia znajdowała się w Opolu na Ostrówku nr 5. Na treść pisma składały się zasadnicze artykuły polityczne, „Przegląd wiadomości ze świata”, „Wiadomości z bliska i z daleka”, odcinek powieściowy, wiersze, dział społeczny i handlowy oraz dział inseratowy. Pismem kierował Koraszewski, a w redakcji poza tym różnymi czasy pracowali: Włodzimierz Raszewski, T. Nowicki, Konstanty Prus, K. Kopczyński, J. N. Jaroń i inni. Pismo, niewielkiej objętości, przynosiło jednak dużo materiału, było redagowane żywo i w najczystszej polszczyźnie, a podstawa jego wobec niemieczyzny była agresywna, bezkompromisowa.

Szlachcic z urodzenia, stał się przywódcą i opiekunem chłopów, rzemieślników i robotników, do czego usposobiły go dwie wybitne cechy charakteru: miłość ludu gorąca i wytrwałość niezłomna. Koraszewski ukochał lud górnośląski nie tylko platonicznie, nie tylko w myśl wyznawanych przez siebie zasad demokratycznych, ale praktycznie w całym słowa tego znaczeniu, żył nie tylko dla ludu, ale i z ludem, brał żywy udział w codziennych jego troskach i cierpieniach, był mu dorad-

cą, przyjacielem, a zarazem przewodnikiem i sumiennym nauczycielem. Życie jego pracowite, jak życie każdego szczerzego trybuna ludowego, szło ciernistą drogą udręki, ale nie poskąpiło mu i bujnych owoców. Koraszewski był nie tylko redaktorem pisma ludowego i nie tylko zdolnym i ciętym piórem walczył o prawa narodowe Górnoślązaków, ale działał jeszcze żywym słowem i osobistym przykładem.

Z chwilą narodzin „Gazety Opolskiej” i prowadzonej przy wydawnictwie księgarni, zakwitło nowe życie w Opolu i okolicy. Wkrótce staraniem Koraszewskiego powstało w mieście Towarzystwo polsko-katolickie.

Dnia 9 lutego w lokalu Cymbółka na Przedmieściu Odrzańskim odbyło się organizacyjne zebranie tego towarzystwa. Prezesem został Jan Raiman, sołtys w Sławicach, wiceprezesem Tomasz Baron z Wójtowej Wsi, skarbnikiem Kandziora z Opola, bibliotekarzem Bias z Królewskiej Nowej Wsi. Na zebraniu organizacyjnym wstąpiło do Towarzystwa 90 członków, w kwietniu było ich już 200, a liczba ta wzrastała z roku na rok. Z biegiem czasu założono podobne towarzystwa w Groszowicach, Dobrzyniu, Siołkowicach, Chrościcach, Węgrach, Kadłubcu, pod Gogolinem (w pow. strzeleckim), w Kamieniu (w tymże powiecie), w Gostoni (w pow. prudnickim) i innych miejscowościach. Towarzystwa rozwijały się póty, póki karczmarze pod presją władz nie zaczęli odmawiać sal. Gdy to nastąpiło, jedno towarzystwo po drugim musiało zaniechać posiedzeń.

Towarzystwo polsko - katolickie w Opolu przetrwało mężnie najtrudniejsze nawet czasy aż do plebiscytu śląskiego, urządzając t. zw. pogadanki niedzielne z odczytami, deklamacjami

i śpiewem. Referaty wygłaszali członkowie: Koraszewski, ks. Rudolf Lubeczki, Karol Myśliwiec, Michał Przywara, Jan Mainka i inni, a z gości: major Szmula, dr Tadeusz Dembiński, aptekarz Niziński, adwokat i poseł Radwański z Pszczyny, redaktor Jan Karol Maćkowski z Raciborza, adwokat Stanisław Bełza z Warszawy, nadto dość często akademicy polscy, tak Górnolązacy jak i Wielkopolanie z uniwersytetu wrocławskiego. W roku 1897 Towarzystwo wystosowało do znanej poetki polskiej Seweryny Duchńskiej, zamieszkałej w Paryżu, adres hołdowniczy w związku z jej złotym jubileuszem pracy literackiej. Za adres ten przesłała poetka na ręce Koraszewskiego serdeczne podziękowanie z odpowiednim wierszem patriotycznym. Z łona Towarzystwa wysłano dalej w roku 1900 adres hołdowniczy do Henryka Sienkiewicza w 25-lecie jego pracy literackiej. Treść adresu, zaopatrzonego w przeszło 1000 podpisów Polaków i Polek ze Śląska i obczyzny, a wyhaftowanego artystycznie przez pannę Franciszkę Czok z Opola (później żonę Koraszewskiego), stanowiła głęboki hołd Górnolązaków dla autora „Trylogii”¹⁾.

Towarzystwo to było obok „Gazety Opolskiej” ostoją oświaty narodowej i rzecznikiem spraw polskości w Opolu. Urządziło ono kilka wycieczek do Krakowa, jedną do Częstochowy i jedną do Poznania. A poza tym wysłała delegację na uroczystości narodowe do Lwowa (na wystawę) i do Warszawy (na obchód Mickiewiczowski). Najpiękniejsza była wycieczka, zorganizowana przez Koraszewskiego przy współudziale red. J. K. Maćkowskiego i red.

Fr. Dobrowolskiego, w roku 1895 do Poznania na wystawę rolniczo-przemysłową. W wycieczce brało udział 100 osób, przeważnie gospodarzy spod Raciborza, Koźła, Prudnika i Opola. Odwiedziny ówczesne Górnolązaków w Poznaniu były wypadkiem historycznej doniosłości, gdyż zbliżyły one do siebie braci jednego narodu, których rozdzieliły wieki całe walk bohater-skich i niepamięci.

Najświatniejszym czynem politycznym Koraszewskiego było przeprowadzenie wyboru posła majora Szmulę w 1898 r. Gdy śląskie stronnictwo „Centrum” na tle osobistych porachunków obaliło kandydaturę Szmulę w okręgu bytomskim, Opolanie pod wodzą Koraszewskiego ofiarowali mu mandat w okręgu wyborczym opolskim. I major Szmula wyszedł zwycięsko z urny wyborczej, acz kilku tylko głosami większości. Lecz gdy wskutek różnych manewrów przeciwników wybór ten unieważniono, wybrał lud opolski Szmulę po raz drugi i to zdecydowaną większością głosów. Gazeta niemiecka „Oppelner Nachrichten”, rozgniewana ówczesną czynnością komitetu wyborczego i żywiołowym ruchem ludu opolskiego, doniosła, że w Komitecie (z którego przegłosowani przez lud duchowni i świeccy centrowcy wystąpili) zasiadają tylko ludzie „wielkopolskiego ducha”, którym przewodzi p. Koraszewski, dyktator tymczasowego rządu polskiego państwa przyszłości²⁾.

„Gazeta Opolska” tymczasem z każdym rokiem zyskiwała na popularności i znaczeniu; wzrastał stale zastęp jej czytelników. A z drukarni Koraszewskiego wychodziły w świat nie tylko egzemplarze „Gazety Opolskiej”,

¹⁾ Dane, zaczerpnięte z przemówienia Koraszewskiego, wygłoszonego na 25-lecie Towarzystwa polsko-katolickiego w Opolu w roku 1911. 8”, stron 8, bez tytułu.

²⁾ *Polski Śląsk dla Polski*. Bronisław Koraszewski, Opole 1921 r., 8”, stron 8, odbitka z „Gazety Opolskiej”.

ale i kalendarze książkowe, śpiewniczki, broszurki, książeczki, afisze i ulotki polskie. Koraszewski zaś dwoił się i troił, pisał, przemawiał, wizytował wsie i osiedla robotnicze, będąc istotnym przywódcą ludu opolskiego.

Rozległa jego działalność dziennikarska, społeczna i polityczna była solą w oku władz pruskich, które nie szczędziły mu szykan i prześladowań. Koraszewski odcierpiał następujące kary więzienne za sprawy polityczne: 10 dni w roku 1889 za artykuł w „Głosie Ludu Górnośląsk.”; 6 miesięcy w 1898 roku za pomieszczenie w kalendarzyku pn. „Staropolanin” powiastki alegorycznej pt. „Kopciuszek śląski”, napisanej anonimowo przez o. Euzebiusza Statecznego; 2 miesiące za artykuł polityczny zamieszczony w roku 1898 w „Gazecie Opolskiej”, w którym dopatrzone się obrazy ministrów pruskich. Dwa ostatnie wyroki zamieniono mu na łączną karę półrocznego więzienia, którą odcierpiał od lipca tegoż roku do 6 marca 1899 r. Jednocześnie rozpoczął odsiadywać kaźń 6-tygodniową odpowiedzialny redaktor „Gazety Opolskiej”, kier. drukarni Wład. Melcer. Redakcją w tym czasie kierował Tele-sfor Nowicki z Ostrowa.

Dnia 31 lipca 1914 roku z wybuchem wojny światowej został Koraszewski jako pierwszy Polak pod zaborem pruskim aresztowany i wywieziony do fortecy w Nysie (Neisse). Tam wraz z kilkudziesięciu patriotami śląskimi, wśród których znaleźli się: adwokat Różański, adwokat Konstanty Wolny z Gliwic, Jan Badura z Rożdżenia, dr Biały

z Rybnika, dyr. Orlicki z Gliwic, przesiedział do dnia 6 sierpnia 1914 roku, kiedy na zasadzie amnestii zwolniono go wraz z współtowarzyszami niedoli. Perypetie swe z tych czasów opowiedział Koraszewski w interesującej, niestety nieukończonych, broszurce³⁾, zatytułowanej w rękopisie „Wspomnienia z lat 1914—1918”.

Z końcem 1918 roku zakłada Koraszewski z inicjatywy swej żony obok „Gazety Opolskiej”, organ propagandowy w języku niemieckim pt. „Der Weisse Adler”. Prześladowany przez bojówki niemieckie, po trzykrotnym napadzie na dom i drukarnię „Gazety Opolskiej” (przy czym drukarnia została doszczętnie zdemolowana) uchodzi Koraszewski wraz z rodziną swą z Opola do Poznańskiego, a w początkach 1921 roku przenosi się do Katowic. Zrujnowany materialnie i zawiedziony w swych nadziejach, nie mogąc przeboleć utraty drogiego Śląska Opolskiego, umiera na posadzie referenta prasowego w katowickiej Dyrekcji Kolei Państwowych dnia 4 kwietnia 1924 roku.

Zasługi Koraszewskiego w odrodzeniu Śląska są nieprzemijającej wartości. Obszerniejszym ich upamiętnieniem zajął się ostatnio mgr Mieczysław Tobiasz, wydając w Instytucie Śląskim monografię o tym śląskim działaczu z niwy kujawskiej, pt. „Na froncie walki narodowej w Opolskiem, 1888—1922”.

³⁾ Broszura bez tytułu, formatu 8”, liczy stron 80 i urywa się nagle rozpoczętym zdaniem.

Rodło na Zaolziu

W sierpniu 1938 r. młodzi Polacy na Śląsku Cieszyńskim, należącym wówczas jeszcze do Czechosłowacji, przyjęli Rodło jako swój znak.

*Szła burza nad Cierlickiem, gnał wicher po Europie!
Przez Zaolzie biegł pomruk: — Szykujma się chłopci!*

*Słońca w chmurach nie widać, a noc dłuższa z jesienią
Aleć znaki są w błyskach, że się losy odmieniają.*

*Gorącość była w sercach, na próżno ją tam chłodzić.
Już w Karwinie, Cieszynie pozmawiali się młodzi.*

*Więc nocami dziewczyny szyły Rodła w Cierlicku,
Na opaskach czerwonych bieluchną bawełniczką.*

*Szyły Rodła w Cierlicku, w Żywocicach, w Bystrzycy,
W znak wiślany wyszywały radosną tajemnicę.*

*A rankiem, gdy ćma była, poszli chłopcy do boju.
Nie będziem gęby strzepić, siłą weźniem, co swoje.*

*Mundurów nie trza było, Rodła wdziali na ramię.
Starczyły im za mundur, za pancerz i za znamię.*

*Przyszły dni walk upartych — młodych gody radosne.
Pochmurną, mglistą jesień przemienili na wiosnę.*

*I szli z dobrą nowiną ode wioski do wioski.
Wyjechał im naprzeciw sam generał Bortnowski.*

*Ujrzał sztandar nad nimi z zuchwałym Rodła znakiem.
Dłoń do czapki przyłożył: — Cześć cieszyńskim chłopakom!*

Książę pszczoł

Książdz dr Jan Dzierżoń, znakomity uczony polski w dziedzinie życia pszczoł i bartnictwa, oraz wynalazca nowego ula, urodził się dnia 16 stycznia 1811 r. w Łowkowicach, na Śląsku Opolskim. Rewelacyjne wyniki jego badań, zawarte w jego dziełach oraz w różnych czasopismach fachowych, zyskały mu nie tylko w kołach naukowych, ale ma się rozumieć również wśród hodowców pszczoł światową sławę, jako największego pszczelarza wszystkich narodów i czasów. Dożywszy lat 95, zmarł w miejscu swego urodzenia dnia 26 października 1906 r., pogodziwszy się uprzednio z rzymskokatolickim kościołem, z którym przez pewien okres czasu trwał w zatargu. Stąd zapewne we fragmentach własnego życiorysu, pisanego w 75 roku życia, znajdują się niekiedy zbyt mocne słowa w odniesieniu do tych, od których po dobrowolnym zrezygnowaniu przezeń z probostwa w Katowicach pod Brzegiem, spotykały Go dotkliwie przykrości. Podstawą do budowy mego opowiadania o Nim był mi, prócz innych materiałów, ów własny Jego krótki ale treściwy życiorys.

W. Ż.

Któż to idzie, któż to wyłania się spoza wysokich uli od strony zagród domowych, od sadu, poprzez drzewa owocami brzemienne? Oto sławny

uczony, badacz pszczoł i wynalazca nowego ula, Jan Dzierżoń, były pleban z Katowic¹⁾. Niskiego wzrostu, średniej tuszy, w kaszkiecie na dość dużej lecz kształtnej głowie, — broda i bokobrody nożyczkami strzyżone — idzie powoli ale rzeżko, nader rzeżko jak na swe 75 lat pracowitego życia. Idzie, poglądając po ulach, posłuchując metalicznego brzęczenia pszczoł. Rulonem papieru dzierżonym w prawej dłoni wskazuje lipę, pod którą na wbitych ostrokołach stoi chwiejący się stolik z ławeczką.

— Tu, Franciszku, widzisz — mówi do towarzyszącego mu bratanka — pracuję trochę piórem. Tak dawno nie pisałem — uzupełnia żartując — że jeszcze gotowym zapomnieć alfabetu.

— A duży to będzie opis?

— Ech, nie. Co tam, taki życiorys mój własny, krótki! Namawialiście mnie przecie, nudziliście: Napisz autobiografię, dużą księgę napisz o swym życiu... Ale gdzie tam ja do takich spraw osobistych! Co innego do fachowych czasopism, co innego dzieła naukowe. Ale o sobie?! Nie miałbym cierpliwości. Więc widzisz Franciszku, krótko o sobie wspomnę, kilka kartek

¹⁾ Katowice, po niemiecku Carlsmarkt (niewłaściwie „Karłowicami” zwane, powiat brzegski, obecnie na niemieck. cz. Śląska).

i dosyć. A że tu wśród naszych pszczołek w ten dzień pogodny najmilej mi będzie, więc...

— Więc ja tu stryja zostawiam — przerywa mu bratanek — nie przeszkadzam i już sobie idę.

Odszedł pan Franciszek, ale wnet z głośnym śmiechem powrócił.

— Ha, ha, a najważniejsze zabrałem z powrotem.

— Cóż takiego Franciszku?

— Atrament.

Pan Franciszek wyciągnął buteleczkę z czarnym płynem i postawił ją na chwiejącym się stole. Potem schylił się, pozbiierał parę większych kamyków, jednymi załatał dziurę pod nogą stolika przybijając ziemię obcasem, aby lepiej trzymało, innymi przyłożył papier — „żeby wiatr nie ściągnął” — i odszedł.

Dzierżon pozostał sam. Na jego lekko zgiętych w dół kącikach warg zamigotał uśmiech. Gęste łuki brwi ściągnęły mu się przed drażniącymi promieniami słońca w poziomą kreskę, bystre oczy zmrużyły się pod blask, a potem spojrzały w okolicę. Z małego tutaj wzniesienia widać ją było w gorącym zalewie porannego światła, złotem łubinów i bielą koniczyn ubarwioną, dojrzałością sierpniowej zieleni stonowaną. Gdzieś tam nocne straszidło, wierzby rozdziawione, w dzień zgoliła nie groźne, pilnowały przemykający się chyłkiem strumień, w dali zaś majaczyły siostry-brzozy w kępie, za którą wśród lip stały w bielei zabudowania dworskie w Maciejowie.

Grunta dworskie stykają się właśnie z gruntami wsi Łowkowic, wsi rodzinnej księdza Jana, wsi, z której od rodziców do szkół wyszedłszy, po przeszło półwieczu na nowo ją swym zamieszkaniem zaszczylił. Niedawno, przed kilku miesiącami zaledwie, bratanek jego Franciszek, ze środka Łow-

kowic tu, nad skraj wsi się przesiedlił, nowy dom pobudowawszy i tu pasiekę i sad dawniej już mając założony, zagospodarował się wraz ze swym sławnym stryjem.

Od zabudowań wsiowych oddaleni, żyją obydwa jak pustelnicy, ale chwala sobie to pustkowie. Lubią spokój i ciszę. Tylko żona bratanek z półtoraroczną córeczką i paru ze służby domowej dotrzymują im towarzystwa.

Dobrotliwy, pobłażający uśmiech księdza Dzierżona nie zniknął z jego lekko wydętych, jakby nieco kpiących warg. Miał napisać przecież swój życiorys — niechaj już tak będzie, skoro chcą tego ode mnie — więc uśmiechnął się, zda się, do tych pierwszych lat, do dzieciństwa, do rodziców, dawno już oczywiście zmarłych...

Szymon i Maria, Szymon i Maria — powtórzył sobie szeptem ich imiona. Pomyślał — pomyślał chwilę, poruszył niemo wargami, westchnął głośno i ułożwszy sobie papier chwycił za pióro:

„Urodziłem się w dniu 16 stycznia 1811 r. w Łowkowicach, wiośce górnośląskiej, w powiecie kluczborskim, w której obecnie mieszkam, w której też i rodzice moi Szymon i Maria na własnych włościach kmiecych gospodarowali. Miałem jedną siostrę starszą o dwa lata, nieżyjącą już dzisiaj, oraz jednego brata młodszego ode mnie o trzy lata, który dotąd żyje. Do 10 roku życia uczęszczałem do miejscowej szkoły, następnie posłali mnie rodzice do szkoły w Byczynie, miasteczku o milę odległym, a w rok później...”

A w rok później..., hm..., tak..., hm...

Zamyślił się Jan Dzierżon, odłożył pióro, podparł się łokciami na stole, czoło ukrył w dłoni. Uśmiech, który płynął od duszy, od serca, od dziecińczych wspomnień, wygładził, wyjaśnił mu twarz steraną wiekiem, usta stały się niemal dziecięce! Któż z nas star-

szych nie uśmiecha się do swych lat tamtych.

Jan Dzierżon stał się na nowo małym Jankiem. Ma właśnie 10 lat. Z pięknym świadectwem w dłoni biegnie uradowany do domu, do matki, do ojca. Ech! Ale się pochwali. — „Pokaż no synku”, powie matka, przytulwszy go do siebie — i będzie oglądać wypisane zdolności. — „No, no! będą z ciebie ludzie” — doda ojciec z zadowoleniem — i pogłodzi go po włosach.

I rzeczywiście, przytuliła go matka a ojciec powiedział „będą z ciebie ludzie”, lecz zaraz uzupełnił:

— trza go do Byczyny posłać na dalszą naukę. W Byczynie musi choć trochę po niemiecku się nauczyć, bo potem... do gimnazjum chyba? Co? jak myślisz matka?

Ach — jakże to trudno było z tą twardą, szorstką mową germańską. Ni w ząb po niemiecku. Przecie ni na wsi, ni w domu, ni nawet w szkółce łowkowskiej słowa w tym języku nie słyshał. Dopiero w Byczynie. Tak, tam na rok oddał go ojciec, by w miejskiej szkole oraz przy pomocy korepetytora — aby szybciej — wykręcając na cztery strony świata język, wprowadził się jako tako w „deutsch sprechen”. I jak się wprowadził! Wszakże naukowe dzieła i fachowe artykuły pszczelarskie tym właśnie językiem opracowuje.

Nasunął mu się w pamięci list Józefa Lompy, który jego dzieło o pszczelnictwie na wyraźne jego, Dzierżona wezwanie, po polsku opracował i tłumaczył — „dlaczegoż to ksiądz dzieł swych wyłącznie w rodzimym języku nie tworzy?” — Hm, dlaczego? Nie może znać on przecie naukowej ni literackiej terminologii polskiej, skoro w niemieckich studiował szkołach tyle lat. — Dłatego.

Co innego w domowym i swojskim obcowaniu z ludźmi. Tu mowa polska,

rozumie się, jest wszechwładną. Bratanek Franciszek mocno by się zdziwił, gdyby stryj Jan po niemiecku zagadał do niego, albo gdyby kazania notował sobie w tym obcym języku. Zdziwiliby się również rodacy Lubieniecki i Witowski lub ks. kanonik Ostrzeszowicz z Małopolski, Lompa i Miarka ze Śląska, albo hrabia Plater z Raperswilu i wielu, wielu innych Polaków, gdyby z nimi w obcym języku korespondował...

Hrabia Plater! Jakżeż — przecież to od niego otrzymał zaszczytną propozycję przesłania polskiemu muzeum w Raperswilu swego portretu oraz tego „coś dotąd ogłosił w swej zajmującej specjalności”, albowiem „solidarność i ofiarnością możemy przechować w spuściźnie duchowe skarby narodu i pracować skutecznie nad jego odrodzeniem”.

Jakże mu żal było wyjeżdżać z rodzinnych Łowkowic, opuszczając rodziców, starszą siostrę, brata, dom, ogród — och i — — pszczoły! Od wczesnego dzieciństwa miał tak wielkie zamiłowanie do tych skrzytych, ciągle śpieszących się w locie złotych owadów. I dziw! Nie imają się go żądłami, nie kłuły go. Spokojnie chadzał wśród uli, bystrymi, zachłannie ciekawymi oczami podglądał ich życie nie wiedząc wówczas, iż stanie się w przyszłości badaczem i odkrywcą ich tajemnic, że ułatwi im pracę, a człowiekowi dobywanie owoców tej pracy.

— Chodź Janku do pszczół — powiedział ojciec — zajrzemy co się tam dzieje.

I podczas gdy Janek przyglądał się jak zwykle z zachwytem niestrudzonej pracy złotych stworzeń i cudownej budowie plastrów, wyjawiał ojciec na pół do siebie, na pół do niego swe myśli. — „Widzisz synku, bo to tak: takiś zdolny i ciekawy do nauk, więc szkoda

by było twoją ciekawość zmarnować. Ale, że my Polacy niemieckiego nie znamy, to trudno ci będzie od razu w gimnazjum się uczyć. Ano i może z naszej łowkowskiej szkoły nie przylepi cię nawet do wyższej szkoły. Dlatego nauczyciel radzi, że trzeba wpierw do Byczyny, byś się po niemiecku trochę poduczył, a potem do gimnazjum. A w gimnazjum..., czym byś, gdy skończysz gimnazjum, chciał zostać?

- Nie wiem...
- Może księdzem?
- Nie wiem...
- Może lekarzem?
- Nie wiem...
- Może sędzią albo urzędnikiem?
- Nie wiem...

„No — czymże byś chciał” — pytał ciągle ojciec, zdziwiony trochę tym „nie wiem”, dzieci przecie lubią sobie wyobrażać czym by to chciały zostać, gdy dorosną. Ale niedługo czekał na odpowiedź, bo Janek wpatrzony w lecącą pszczołę, szepnął:

— Chciałbym zostać pszczelarzem...

— O, ho, ho — zawołał ojciec — pszczelarzem!...

Dziwne zrządzenie losu, — myśli ksiądz Dzierżon — bo właśnie...

Zacierają się w jego pamięci dalsze szczegóły zdarzenia, które mniej więcej w tym porządku rzeczy i tymi słowami się działy. Kiedym to zaczął we Wrocławiu? Sześćdziesiąt pięć lat temu... Pierwsze kroki w gimnazjum a potem teologia, matematyka, historia Śląska, fizyka, astronomia... Ale jak się to zaczęło? Nie, nie pamięta szczegółów — tyle lat. Westchnął ksiądz Dzierżon i przypomniał sobie o piórze. Pisał dalej:

„...nieraz też w czasie studiów kierowałem swe kroki tam, gdzie była pasieka lub rój w dziupli drzewa, by się bodaj przez chwilę nacieszyć ich weso-

łym brzękiem i pilnością. Głównie owo zamiłowanie wpłynęło na wybór mego zawodu...”

Tak, zamiłowanie — rzekł do siebie ksiądz Jan, odłożywszy znowu pióro. Jakimiż niespodziewanymi drogami dochodzi się nieraz do urzeczywistnienia swych marzeń! Bo proszę — praca kancelaryjna? nie! to nie dla niego. Otrząsnął się na samą myśl o całodziennym wysiadywaniu na stołku, o babraniu się w różnych szpargałach, w aktach, w załącznikach, w sprawach, które go nic a nic obchodzić nie będą. Co innego pszczoły — ha, pszczoły! Badać ich życie, życie pełne tajemnic o najdziwniejszym ustroju, jaki sobie można wyobrazić.

Jakiż więc zawód wybrać, by znaleźć dość czasu na to badanie, na tę naukową pracę tak żmudną, drobiazgową, ale mogącą zadowolić ciekawość przyszłego uczonego. Więc jakiż zawód? — Pochylił się ksiądz Dzierżon nad papierem i zanotował ciąg dalszy swego życiorysu:

„...spodziewałem się, że w duchownym stanie, podobnie jak Schirach¹⁾, Christ i inni znajduję chwilę czasu na przeprowadzenie dalszych badań, by w panujący jeszcze wówczas mrok życia pszczoł, wpuścić promyk światła. I nie zawiodłem się w nadziejach. Po wyświęceniu na księdza w dniu 16 III 1834 r. pełniłem do lipca 1835 r. powinności kapłańskie w Siołkowicach, w powiecie opolskim, skąd powołano mnie do Katowic. Jakkolwiek małe i chude było tam probostwo...”

Podparł się ksiądz Dzierżon ręką nad stołem i wpatrzył się w maciejowskie brzozy i lipy, ale inny miał widok w oczach. Inne brzozy i inne lipy widział w tej chwili, te sprzed lat, te z drugiej swojej parafii, z Katowic.

¹⁾ Łużyczanin. W niemieckiej pisowni Schirach, po łużycku Šerach.

W miarę wpatrywania się w tamten, jakże odległy ale plastyczny swą żywością obraz, twarz mu znowu młodziła, usta się rozciągały w uśmiechu, bystre oczy stawały się marzące.

Właśnie nadszedł Franciszek.

— He, coś wesołego sobie stryj przypomniał!

Oczy Dzierżona zwróciły się ku bratankowi, ale widziały nadal plebanie, pasiekę, ule, pszczoły...

— Pamiętasz Katowice, Franciszku? W dzikim lecz dość dużym ogrodzie plebańskim zaprowadziłem pierwszą swoją pasiekę. Kilka pni, jakie dostałem od mojego ojca. Zwyczajne kłody, wydrążone na ule. O tym właśnie myślałem sobie tak wesoło. A potem przyszły ule skrzynkowe pomysłu Christa. Nieźle to były ule...

— Ba! — przerwał mu Franciszek. — Nieźle... ale lepsze stały się wtedy, gdy je stryj udoskonalił, a już prawdziwie dobre to dopiero nowe ule, wasze ule stryju, waszego pomysłu. Ule Dzierżona! Świetnie się w nich pszczoły chowają. Ależ to stryju zagospodarowałeś się w całej tamtejszej okolicy, z tyloma pasiekami!

— A jakże — przytaknął Dzierżon — ileż to pasiek miałem... Zaraz, dwie w Katowicach, trzecia w Borku, czwarta...

Wyciągnął Dzierżon lewą dłoń, rozwarł palce i pomagając sobie prawą ręką, wyliczał. A więc i w Roszkowicach i dwie w Bąkowicach, po jednej w Kolnie, w Kurzniach i Popielowie, itd., itd. Dwanaście.

— Jak dwunastu apostołów — śmiał się Franciszek, a i poprzez dwunastu apostołów przypomniał sobie zaraz stryjowe obowiązki duchowne i związane z tym przykrości albo i śmieszne powikłania, co się księdzu stryjowi zdarzały nieraz w tej pszczelarsko-parafialnej działalności. Więc śmiał się

głośno Franciszek, aż się zdziwił Dzierżon.

— Czego to tak się śmiejesz?

— Czego stryju? A czy to można zapomnieć tej pierwszej niedzieli mego pobytu u was, w Katowicach!

— Cóż to takiego? — usiłował przypomnieć sobie Dzierżon.

— Z tym nabożeństwem, to się też stryjowi udało wtedy, co!? Z tym nabożeństwem, ha, ha! — ale nie ma się czemu dziwić — poważnieje Franciszek i dodaje po prostu: — lepiej, że stryj był bardziej uczonym, niż — proboszczem. Nie byłoby tyle odkryć z życia pszczół, nie byłoby udoskonalonych uli i sposobów pszczelarskich — nie byłoby tyle artykułów i książek, które stryj napisał, a które zna każdy naród na swój przetłumaczywszy język.

Wargi księdza Dzierżona zacięły się energicznie, jak gdyby w tej chwili właśnie ukończył swą pierwszą książkę „Teoria i praktyka nowego lubownika pszczół”, z powodu której tak namiętnie był zwalczany przez zwolenników dawnych zapatrywań pszczelarskich. Ta właśnie walka była mu bodźcem do napisania drugiej w roku 1861 rozprawy „Racjonalna hodowla pszczół”, której ostatnie kompletne wydanie pojawiło się... pojawiło się... hm... — przypomina sobie Dzierżon — kiedyż to pojawiło się... teraz mamy rok 1885, no więc przed siedmiu laty w r. 1878. Ileż to artykułów moich ukazało się w „Bienenzeitung”, pamiętasz Franku? Cóż to się działo wówczas, pamiętasz Franku — co ja też mówię, przecież wtedy ciebie na świecie jeszcze nie było — jakąż to burzę wywołałem wówczas, gdy ogłosiłem moją nową teorię, że trutnie — rozumiesz — pochodzą z jaj niezapłodnionych oraz, że królowa jest matką wszystkich pszczół w ulu i może wyznaczać płeć jajek dowolnie w ten sposób, że do ko-

mórki trutowej składa jajko niezapłodnione. Moja teoria...

Zastanowił się w tym miejscu Dzierżon i umilkł. To marszczył twarz groźnie, to lekceważąco machał ręką, to znów uśmiechał się kpiąco, lub zwycięsko. Widział wyraźnie te obrazy przeszłości z jego pierwszych badań i naukowych prac. Prawie słyszy, jak stary współpracownik fachowych gazet pszczelarskich, Brüning, wścieka się po przeczytaniu jego dzierżonowej teorii i woła, że chyba Dzierżon albo on rozum stracił. Prawie że widzi, jak znakomici fizjologowie, profesorowie Siebald i Leukart pod mikroskopem i przy pomocy noża sekcyjnego stwierdzają ze zdumieniem prawdziwość jego dociekań. — I prawie że słyszy, jak baron Berlepsch, również badacz życia pszczoł, gwałtownie zwalcza jego nowy pogląd, podtrzymując dawne błędne mniemanie o zapładnianiu się pszczoł.

A przecież błąd ten wykrył i zwalczył on, Dzierżon, raczej badacz, uczo-ny i wynalazca, niż ksiądz, jakby to z plebanii, kościoła i z obowiązków duszpasterskich wynikało... O tak, bo przecie i zdarzyło się nieraz, że w dzień świąteczny lub niedzielę... tu właśnie powód do Franciszkowego śmiechu przed chwilą. Teraz Dzierżon sam roześmiał się na głos i mówi:

— Tak, tak Franciszku, wtedyś to do mnie jako czternastoletni chłopiec przyjechał, wtedy to pierwszy raz pokazywałem ci moją pasiekę przy plebanii... i miałeś spektakl nie tylko z pszczołami he, he...

I znowu wyraźnie, wyraźnie widzi Dzierżon jak mały Franciszek z zaciekawieniem jak zwykle podgląda zacząrowane wnętrze ula, które mu on pokazuje i objaśnia... „patrz, patrz Franciszku, jak silny jest ruch na oczku, jaki żywy wlot do wnętrza ula. Widać, że pień jest silny... ho,, ho.. Otworzymy

zatków, zobaczymy jak tam z miodem... O, widzisz, plastry na snozach, tj. na tych listewkach, widzisz, plastry wsunięte w ściany ula, to mój wynalazek Franku, na listewkach, aby można je łatwo wyjmować. Ul ramkowy, rozumiesz?

— Ehe...

— Ul ramkowy. Można go dzięki memu wynalazkowi rozbierać, można miód wyjmować bez uszkodzenia woszczyny, rozumiesz?

— Ehe...

— Widzisz, patrz, trzy kondygnacje plastrów skrajnych, pełne miodu, bo są skraja, najpierwsze, więc dla pszczoł najdostępniejsze... A teraz wyjmemy jeden skrajny plaster... widzisz, widzisz, na dalszych plastrach miodu już mniej, a tam głębiej, w środku, o tam, patrz, w tym plastrze, widzisz...

— Ehe...

— Wykluwają się pszczoły. Różne stadia rozwoju czerwia, więc od jajek począwszy aż do wykluwających się pszczoł, rozumiesz?

— Ehe...

— Patrz, jakie to dziwne. Pszczołamatka składa do komórek jajka, do większych i do mniejszych. Z mniejszych wykluwają się pszczoły robocze, z większych zaś, wyobraź sobie, trutnie, a więc pszczoły, które nie składają jajek, nie zbierają miodu, rozumiesz?

— Ehe...

— A czy wiesz, że trutnie kształtują się z jajek dzieworodnie — per parthenogenesisin — dzieworodnie, rozumiesz?

— Nie...

— To jest właśnie moja teoria! — wykrzykuje Dzierżon. — To właśnie naukowym badaniem stwierdzona teoria — rozumiesz Franku! Moja teoria — zapala się Dzierżon — że do komórek większych plastra składa matka jajka nie-za-płodnio-ne, rozwijające się zatem

dzie-wo-ro-dnie! I z tych właśnie trutnie. Moja teoria! — woła, jak gdyby nie małego Franka, który i tak niewiele z tego rozumie, miał przed sobą, lecz salę wykładową pełną słuchaczy, powag naukowych, pszczelarzy...

A kiedy w zamruganych biegiem czasu zdarzeniach zagaduje się Jan Dzierżon, zapala się i przejmuje — oto co widzi dalej i słyszy, z czego przed chwilą tak uśmieł się serdecznie bratanek Franciszek. Widzi siebie i jego, pochylonych nad ulem i słyszy zdyszane wołanie:

— Księżę proboszczu, księżę proboszczu!

Biegnie gospodyni, a za nią jękający się kościelny. Paru włościan odświętnie wykrochmalonych, wygolonych, podchodzi z uszanowaniem.

— Co się stało?! — odwraca się Dzierżon od swoich pszczelich przyjaciół i patrzy zdziwionym wzrokiem.

— O la Boga farorzu, jak to co się stało?! Toć przecie dziś niedziela!

— Aaa, nie-nie-niedziela — powtarza kościelny z ważną miną.

— To co, że niedziela? — nie rozumie jeszcze proboszcz.

— A nabożeństwo, msza święta, ludzie od godziny stoją i stoją przed kościołem — woła gospodyni — a księdza jak nie ma tak nie ma. Z pszczołami się jegomość zabawia — ośmiela się gospodyni — a msza święta może sobie poczekać, proszę bardzo... ważniejsze pszczoły...

— Psz-psz-psz-pszczoły — podkreśla znów z ważną miną kościelny.

— E-e! hm, hm — odburka Dzierżon zły bardzo na siebie, ale nie daje tego poznać... — Prawda, z kieszeni surduta wystaje mu przecie w rulon zwinięty arkusz papieru, na którym w skrótach, polskimi słowy przygotował kazanie... „Bóg uczyniwszy wszystko, cokolwiek na tym świecie widzimy... i tenże... Bóg

człow. oznaj... w pocie oblicza twego przykre dla człow., który tylko z wielką niech... o śmierci pamięta... Duch ale do Boga powraca... nie starajmy się, aby ciału wygodzić ale aby duszę jak nawiększ... wyozdobić cnotami...”

Pośpiesznie złowiwszy wzrokiem literki skrótu mruknął Dzierżon do siebie „aha, aha, taak”, wsunął skrót w kieszeń a pod adresem gospodyni rzuciwszy słów kilka, że pszczoły też stworzenia boskie, z godnością ale szerokimi krokami wali śpiesznie do kościoła.

To było śmieszne, doprawdy! żeby też ksiądz o mszy niedzielnej zapominał...

— Tak — akcentuje krótko Franciszek, zacierając ręce. — To się może zdarzyć uczonemu. Nic dziwnego, choć śmieszne.

Dumny jest ze swego stryja-pszczelarza. Zawsze w jak najlepszej z nim zgodzie, bo i warto i trzeba. Uczynny ten stryj Dzierżon, uczciwy w słowie i postępowaniu, i mądry. Więc dlaczego...

Dlaczego!? Nie mógł się nigdy dość nagorszyć poważny już teraz Franciszek, że stryj jego miał wrogów w księżym zawodzie. Ale to już przeszło, było. Mieszkają tu sobie od lat spokojnie, razem i dobrze. Stryj trzyma się doskonale, chociaż 75 lat życia mu minęło, pisze i bada ciągle. I chyba jest zadowolony.

Popatrzył na Dzierżona Franciszek, zauważył, że stryj niecierpliwie piórem i papierami zasta, więc cicho odszedł ku domowi.

Dwie pszczoły w kolistym wyścigu zawirowały nad Dzierżonową głową i jedna przysiadła mu na rękę, druga policzka się czepiała.

Nie strzepnął je Dzierżon. Po co? Nigdy mu nic złego nie uczyniły. To dziwne, ale nie imają go się żądlami.

23

myśli — na pewno odznaczyliby mnie Prusacy wyżej”.

Rozmyśla nad tym Dzierżon, podparłszy się łokciami na stole, drugą ręką bezmyślnie wypisując esy floresy po arkuszach papieru. Ale jest wzruszony. Wszakże te wszystkie odznaczenia to za jego zasługi na polu naukowym. Wolno mu więc je było przyjąć nawet od zaborców i chlubić się nimi — „nauka jest międzynarodowa”, tak, pamięta, że tak wyraził się do kogoś, na którymś tam posiedzeniu we Wrocławiu czy Darmstadzie, w Berlinie, Wiedniu, czy Pradze, gdy po uciążliwych konferencjach naukowych rozmawiał w gronie swoich, w towarzystwie Polaków.

Takie to dowody uznania spotykały go od świeckich. Tylko z niektórymi towarzyszami po pierwotnym fachu, miał kłopot. Co tam kłopot; przykrości — co tam przykrości; po prostu obelgi, nienawiść i donosy.

Zmarszczył się Dzierżon wspominawszy o tym, usta zaciśnięte opadły mu kątami w dół, pióro nerwowo zadrdzało w dłoni i zaskrzypiało mocno, gdy pisał:

„...Aliści gwoili późniejszego niewywyższania się, — mówiąc słowami św. Pawła — zesłano na mnie ducha szatana, by mi wymierzał policzki. Jego rolę objął ślepowierzący i ślepopośluszny, skrajnie klerykalny fanatyzm. Ponieważ wybrałem jako myśl przewodnią słowa św. Pawła: „Wszystkiego doświadczajcie i zachowajcie dobre, a wiara wasza niechaj będzie bardziej rozumna”, ponieważ nie chciałem zbijać swego rozumu, ani zniżać się do roli automatu...”

No tak to, tak... Na jakimś imiennym przyjęciu, u któregoś z okolicznych plebanów wypowiedział się ksiądz Dzierżon, pamięta to, pamięta, wypowiedział się nieostrożnie a otwarcie

(dyskusja rozwlekła przy winie), że papież, że nieomyłność, a przecie nie był to wówczas dogmat, wszędzie na całym rzymskokatolickim świecie rozprawiano dopiero, sprzeczano się, dowodzono — lecz właśnie przychyłano się do ogłoszonego w dwa lata później dogmatu o nieomyłności papieża. A Dzierżon swoje: protestuję — nie uznam...

Więc to już przestępstwo i odstępstwo w klerykalnym świecie, tedy skończyło się plebanowanie Dzierżonowe w Katowicach. Jeden z księży, towarzyszyów imieninowych, zadenuncjował. Ha, cóż, musiałem zrezygnować z pełnienia czynności kapłańskich — myśli Dzierżon kiwając głową — odebrali mi potem skromną pensję, procesy, szykany. Z bólem niezmiernym przypomina sobie, jak to kiedyś, jakże to już dawno temu, ale cierni urazy tkwi ciągle w jego sercu, więc jak to kiedyś chciał pomodlić się w katowickim kościele, poobcować z Bogiem najgłębiej, najszczerzej... I nagle — jego modlitewne zadumanie przerwał ostry głos, głos doniosły nowego plebana: „ten człowiek ma czelność wciąż jeszcze przychodzić tu, gdzie przecie nie należy!”

— Mój Boże — myśli z goryczą Dzierżon — choć to już tyle — tyle lat, a trudno nie zapomnieć o tej nienawiści, o tej żądzy prześladowczej fanatyków. Nawet pomodlić się nie było mi wolno... Nawet. — O — i znów przypomnienie bolesne z bliższych już czasów. W siedemdziesiątą rocznicę urodzin (siedemdziesiąt lat, ho, ho, dobry wiek, więc to już pięć lat temu — jak to czas leci!) odwiedził go wówczas przyjaciel z lat dziecinnych — proboszcz z Bąkowic. Jakżeby nie przyjąć przyjaciela, nie uradować się nim, nie uczestować go. I wówczas, jakież to nie do wiary! — wówczas inny ksiądz, ksiądz Pabel (utkwiliło mu to nazwisko w pamięci), zadenuncjował owego wiernego przy-

jaciela Dzierżonowego — że był u odstępcy, że pił i jadł u niego...

Nie do uwierzenia. A nie!

Machnął ręką Dzierżon nad głupotą i złością ludzką i pisał dalej:

„...by nie spotkać się więcej z podobną brutalnością, postanowiłem opuścić na zawsze Katowice, gdzie spędziłem czterdzieści dziewięć lat i przenieść się do rodzinnej wioski mojej. Tu żyję sobie wespół z moim bratankiem, najmłodszym synem mego brata, w niczym niezamąconym spokoju, oddany cały pielęgnowaniu oraz badaniu kochanych pszczołek. Zaiste pędzimy tu prawdziwe pustelnicze życie...”

Bratanek Franciszek nadchodził od domu i wołał, że fotograf już jest, że umyślnie zamówiony z Kluczborka przyjechał, aby zdjąć pasiekę. Bardzo chciał Dzierżon mieć widok swej pasieki na fotograficznym obrazku. Oryginalna bowiem ta pasieka. Pół morga zajmuje w sadzie kilcumorgowym. Pół morga tylko i dlatego właśnie trzeba było ul jeden na drugim ustawić. A więc piętrowo 6, 8, 12 — 16 pni pod niewielkim wspólnym dachem, za to aż 200 rodzin pszczelich może się tutaj pomieścić. Doprawdy trudno przedstawić sobie obraz pasieki przy jej ustawieniu we wszystkich kątach i częściach ogrodu w pniach piętrowych. Na to właśnie fotograf.

— Panie fotografie! — woła Dzierżon — proszę tu do nas. — I już krząta się żwawo pomiędzy swymi piętrowymi ulami. — Może z tej strony, a może z tej, ej chyba to od strony południowej — albo czekajcie, czekajcież — przecie od tego ula, ten musi być na pierwszym planie...

Chudy fotograf ze swym czarnym olbrzymim aparaciskiem tańczy raz tu,

raz tam, raz tu, raz tam, nakrywa się najszczelniej czarno-ponurą płachcicą, przymierza, odmierza, rozstawia i przystawia długie nóżki stojaka, to tak, to inaczej, to tak, to inaczej... Trwa to dość długo — długo, aż lekki wietrzyk, który mile gładził włosy i policzki, rozwichrzył się więcej i jeszcze więcej, niebem zaczęły płynąć coraz to szybciej i coraz bardziej poszarpane choć białe jeszcze chmury, aż w pewnej chwili rozbijały się na wstrętnym już wicherzysku gałęziach drzew w owoce brzemienne. I nuże zasłaniać ule, walić w nie trzaskiem gałęzi i spadającymi jabłkami i kpić sobie po prostu z czającego się pod płachtą fotografa.

— Aj, to będzie na nic — krzyczy zduszonym głosem pod płachtą fotograf — wszystko się kiwa jak pijane, niewyraźnie wyjdzie.

— To może innym razem — proponuje pan Franciszek.

— Nie, nie — woła Dzierżon — na wietrze, to już teraz, dzisiaj. Kiedy tam znów pan fotograf przyjdzie, taki kawał drogi z Kluczborka, niechże już teraz zdejmie mi te ule.

Więc w pośpiechu, raz, dwa, trzy, cztery i aż do którejś tam magiczno-fotograficznej liczby, — pstryk! No, nareszcie.

Wyłazi fotograf spod ciemnej płachty, spocony, niezadowolony, ze smutnym przewidywaniem zepsutej kliszy... i zdziwiony, że gdzieś zapodzieli się Dzierżon i jego bratanek.

A zapodzieli się i to pędem. Bo rychno w czas przypomnieli sobie o kartkach papieru, na których życiorys się pisał w rozpamiętywaniu...

Na szczęście niedaleko to wszystko wiatr poniósł. Przewrócony atrament czarną strużką rozlał się po

krzywym stole, arkusze papieru udało się wyłowić spomiędzy niedaleko kwitnącego łubinu, a pióro tuż, tuż pod krzakami agrestu utkwiło.

Pośmieli się obydwaj krewniacy z figlów „wstrętnego”, jak mówili, wiochrzyska, po czym Franciszek zajął się fotografem, a Dzierżon, już w izbie, swoim pamiętnikiem-życiorysem.

Przeczytał go sobie od początku — cóż tam, to nie, ech po co o tym — szast prast — już skreślone, a tu — no, no, to trzeba wyraźniej, a tu — to chyba dopisać — o tym zaś Pablu... zostawić, niech będzie. I tak poprawiał i dopisywał, skreślał i uwypuklał, aby wreszcie sobie powiedzieć: Na co to komu? Będę pisał romans o sobie?...

I z tyłu, tyłu zapisanych kartek, pięć czy sześć stron pozostało tylko, przepisanych na czysto, wyraźnie, żeby przecie coś o sobie, żeby spełnić prośbę Franciszka i przyjaciół...

Tylko na końcu dodał wzruszające, najprostsze i najpiękniejsze zdanie:

„...Widok jest na wszystkie strony wolny i miły, czuję się w tym odosobnieniu bardzo szczęśliwy. Wszakże znajduję się ciągle w pobliżu moich kochanych pszczołek. One bowiem temu, kto na dzieła Wszechmocy i cuda natury ma umysł wrażliwy, zamieniają w raj nawet pustynię...”

A pod spodem: „...Łowkowice, dnia 4 sierpnia 1885 r....”

Osobiste

Żonie

I

Kosmyk księżycy
na przedzionach chmur
jak kosmyk włosów
świecił naszemu spotkaniu.
Od horyzontów
przestrzeni dwudziestu wiosen
ku sobie
wiatr przeznaczenia nas zaniósł.

Na drodze, która niczyja,
wśród wisien sadzonych w dwurzęd,
dialogów obces.
Zwierzenia przez powijk
banatu pachną mleka skopcem.

Na nadwiślańskich mokradłach
jak dziewczyna grabiąca siano
miłość nam się płoniła
sepią rozkwitłych szafranów.

Od czarnej brzozy ku wrzosom,
od wrzosów nad stawu sitowia
wodząc, zawiodła nas ścieżka
w kościół, co od światek rozplowiła.

II

Obiady życia: —
co dzień to samo.
Ciężki nawisły brzask nad domami
w odwilżach tęsknot zamókł.

Wydeptana do stacji drożyno! —
Nużący torze do chleba! —
Spojrzenia pełzną po szynach
jak przeciążona koleba.

W wagonie trzeciej klasy
w ciżbie zgietczącej jak szerszeń
wśród cuchnących czosnkiem chałatów
samotny czytałeś wiersze.



Wypluty w tunel ulicy
przez wiecznie spóźniony pociąg,
gnałeś na ósmą rytmem szalonego serca
i znojną pleców wilgocią.

I co dzień siedem godzin biura
jak siedem ran otwartych
krwią wyciekato z twej ciszy
wichrami od wnętrza dartej — —

III

Powroty o szesnastej.
Przyjaźń anemicznych opuncyj
w donicach cichych komnat: —
uśmiech, co w zwykłość zastygł.

Grudki zieleni i próchna
streszczają w sobie urok polany grzędawej.
Kaktusy jak dziewięciosił
kolcami kłują się z trawy.

A filodendron jak łopian
liście rozpalczył dziwacznie.
Po nocy zmysłowy fikus
ze słonkiem znowu flirt zacznie.

Na ścianach drzeworyty.
Sprzęt w złoto amaryllisów.
Radio z blatu szafki nocnej
krzyczy muzyką Tyflisu.

Klucz książek biblioteki
grzbietami do szyb się drapie.
Stolik przymilnie podsuwa
atrament, pióro i papier.

To jest ta radość powszednia
zakłeta w ubogą przestrzeń
zwązłą do dwóch pokoiów,
gdzie z szczęściem cicho się mieszczę.

Szczęściem, którym-eś Ty —
cyganicho śniada i niezastąpiona; —
w strofy kobiecych robótek,
w żartki poemat krwi
szydełkująca dnia smutek — —

Kilka słów o pracy naukowej

w dawnych gimnazjach cieszyńskich (1850—1873)

Jak wiadomo, przeprowadził rząd austriacki w r. 1849 znakomitą reorganizację gimnazjów, która też w następstwie utrzymała się długie dziesiątki lat aż do przewrotów powojennych, stojących pod znakiem ciągłego eksperymentowania i bezskutecznego, jak dotąd, szukania nowych, lepszych dróg. Reorganizacja ta polegała przede wszystkim na tym, że zniesiono t. zw. klasy filozoficzne wzgl. licealne, istniejące w dodatku tylko przy pewnych gimnazjach, a w ich miejsce zaprowadzono wszędzie gimnazja ośmioklasowe. Na tej innowacji zyskały również grona nauczycielskie, bo odtąd dyrekcje otrzymywały pewną kwotę na druk corocznych sprawozdań, w których obok części urzędowej zawsze przewidziane było miejsce na ogłoszenia rozpraw naukowych. W ten sposób więc obok pracy ściśle zawodowej i pedagogicznej w szkole mógł nauczyciel także poświęcać się pracy naukowej w obranym kierunku bez obawy, że wysiłki jego dla braku funduszy nie będą mogły być ogłoszone i podane do wiadomości szerszego ogółu. To też odtąd we wszystkich zakładach rozpoczął się na tym polu ożywiony ruch. Cieszyn posiadał wówczas dwa gimnazja, państwowe katolickie i prywatne ewangelickie, upaństwowione w r. 1850, obydwie z je-

zykiem wykładowym niemieckim. Za interesowania członków obydwu gron szły w różnych kierunkach w dość szerokim zakresie.

Dla dzisiejszej generacji nie powinno być rzeczą obojętną, w jakich zakładach kształcili się weterani i właściciwi twórcy naszego ruchu narodowego, bez których inicjatywy ani chłop ani tym mniej górnik czy robotnik przecież nigdy nie byłby się ruszył. Oni to bowiem począwszy od Stalmacha, A. Cinciały, ks. Janusza i ks. Świeżego a skończywszy na J. Cienciale, Franciszku i Janie Michejdach obok licznych innych kładli główne zręby i fundamenty pod gmach odrodzenia narodowego na Śląsku Cieszyńskim na długo przedtem, zanim w Cieszynie powstało pierwsze gimnazjum polskie i w ogóle poczyniono kroki do unarodowienia śląskiego szkolnictwa.

Przykłady solidnej pracy widzieli oni już w swych zakładach, gdzie mieli sposobność nabycia gruntownej wiedzy niestety z wyjątkiem uświadomienia narodowego, którego im szkoła niemiecka w ogóle dać nie mogła. Zresztą praca naukowa obejmowała prawie wszystkie dziedziny określone w programach szkolnych. Jak się przedstawiał przegląd tych prac?

Rozpocznijmy od filologii klasycznej. Tu na czoło zainteresowań wysuwają się Homer, Plato, Sofokles, Isokrates, Tacyt, Cicero i Wergiliusz¹⁾. Z literatury niemieckiej uwzględniony jest przede wszystkim rozwój nowoczesnego języka niemieckiego i podania ludowe²⁾. Jest nawet obszerniejszy traktat o znaczeniu językoznawstwa pióra ks. dra Eugeniusza Janoty³⁾, późniejszego profesora uniwersytetu J. K. we Lwowie i członka galicyjskiej Rady Szkolnej Krajowej († 1878).

Ale już wprost niewytłumaczalną pozostanie rzecz, jak w erze wojującego w Austrii niemieckiego liberalizmu mogły się w programach katolickiego gimnazjum, za dyrekcji ks. dra Filipa Gabriela, pojawiać rzeczy czysto słowiańskie z zakresu gramatyki i literatury czeskiej i polskiej, napisane przez nauczycieli dra Józefa Fischera, Franciszka Bartoša i Jana Wondráčka. Ostatni napisał jedną rozprawkę wprost w języku polskim⁴⁾. Coś podobnego było po r. 1873 w połączonym gimnazjum wobec zaostrzonego kursu antysłowiańskiego w ogóle nie do pomyślenia. Dyrektor ewang. gimnazjum Jan Kalinčák, Słowak z pochodzenia, był nawet współpracownikiem Gwiazdki Cieszyńskiej i umieścił w niej w latach sześćdziesiątych najprzód oryginalną powieść pt. „Restauracja”, obraz z życia węgierskiego niedalekich czasów, potem tłumaczone ze słowiańskiego i wyjęte z czasopisma „Orol tatrański” powieści „Serbianka” (powieść naddunajska) i „Bratowa ręka” (powieść słowiańska).

Z kolei sporo miejsca zajmuje historia Śląska, w której szczególnie celował Bogumił Biermann, profesor i wreszcie dyrektor ewang. gimn. w ostatnim roku jego istnienia⁵⁾. W kat. gimn. obok rzeczy odnoszących się do przeszłości Cieszyzna znajdujemy obszerniej-

sze traktaty z historii powszechnej pióra profesorów Pantkego, Wolfa i Wallnöfera⁶⁾.

Naukami przyrodniczymi, zwłaszcza zoologią i botaniką zajmowali się w gimn. kat. dr Józef Fischer, w ewang. Oskar Żlik⁷⁾.

Wybitnym matematykiem i autorem licznych podręczników, używanych przez długi szereg lat w niemieckich gimnazjach austriackich, był profesor ewang. a później połączanego gimn. dr Jan Odstrčil, w kat. gimn. działali Jan Mrhal i Wacław Pscheidl⁸⁾.

Byli oni również czynni na polu fizyki i ogłaszali prace także z tego zakresu⁹⁾.

Ale z pewnością nikt dzisiaj nie uważałby za rzecz możliwą, że w sferę zainteresowań pociągnięto nawet sztukę. Była nią muzyka, o której dwie obszernie rozprawy w latach 1862 i 1863 napisał profesor kat. gimnazjum Józef Smita¹⁰⁾.

Wreszcie uwzględnienie znalazły rozprawki treści pedagogicznej i metodycznej, dotyczące nauki łaciny, geografii, historii, chemii, religii i stosunku szkoły do ówczesnych prądów zewnętrznych, oddziałujących na sposób udzielania tejże¹¹⁾.

Tylko praca w kierunku narodowym mimo niektórych korzystnych objawów zewnętrznych nie mogła w tych niemieckich zakładach doznać wystarczających podnieć. Tu młodzież zdana była wyłącznie na własne siły. W gimnazjum katolickim zadanie to spełniało „Towarzystwo Narodowe” (1861—1872), w gimnazjum ewangelickim „Wzajemność” (1863—1874). Z uznaniem podnieść należy, że obydwie dyrekcje za przynależność do tych towarzystw młodzieży nie prześladowały, w gimnazjum ewangelickim bowiem

uznano tę pracę tylko za niepotrzebną, a w gimnazjum katolickim dyrektor dr Gabriel powierzył nawet nadzór nad tą młodzieżą jednemu z członków grona nauczycielskiego. Prześladowanie i szpiegowanie młodzieży polskiej zaczęło się dopiero w połączonym gimnazjum w r. 1894, przeciwko założonemu w r. 1886 tajnemu towarzystwu polskiemu „Jedność”¹²⁾.

PRZYPISKI:

¹⁾ Die Scylla und Charybdis des Homer von Paul Lütkenmüller 1857 (g. kat.).

De glossematis veris et falsis in Taciti Agricola. Scripsit Josephus Hülsenbeck 1858 (g. kat.).

Ueber das adversative Verhältnis der hypothetischen Sätze bei Homer von H. Sittig 1861 (g. ew.).

Beitrag zur Erklärung des zweiten Gesanges der Aeneide des P. Vergilius Maro von Gottlieb Friedrich 1868 (g. ew.).

Ueber Eigentümlichkeiten im Gebrauche der Epitheta bei Sophocles von Friedrich Slameczka 1869 (g. kat.).

Einige Bemerkungen zu Cicero De legibus von Friedrich Slameczka 1870 (g. kat.).

Quid dialogi de oratoribus quem inscribunt auctor eo libello conscribendo sibi voluerit Tacitusque vere eum composuisse existimandus sit anquiritur. Scripsit Fr. Reusch 1871 (g. kat.).

Die Rede des Isokrates gegen die Sophisten in ihren Beziehungen zu der Frage über die Abfassungszeit des platonischen Phaedrus von Josef Werber, k. k. Bezirksschulinspektor 1872 (g. kat.).

Die Rede des Protagoras im gleichnamigen platonischen Dialoge von Franz Schmied 1873 (g. kat.).

²⁾ Sagen und Volksglauben im inneren Bregenzer Walde von Josef Elsensohn. 1866. (g. kat.).

Briefe aus dem Ende des sechzehnten und dem Beginne des siebzehnten Jahrhunderts 1860 (g. ew.).

Die deutsche Prosa vor Luther von Paul Scheiner, Fortsetzung und Schluss 1868 (g. ew.).

³⁾ Sprachstudien als Beitrag zur ethischen und logischen Bildung von Dr Eug. Janota 1851 (g. kat.).

⁴⁾ Der syntaktische Gebrauch des Instrumentals im Polnischen von Joh. Wondráček 1864 (g. kat.).

Ueber Sammlungen von böhmischen geistlichen Liedern im Herzogtume Teschen von Dr. Josef Fischer 1865 (g. kat.).

Krótká wiadomość o polskim rękopisie Orlanda Szalonego w Szersznikowskim księgozbiornie w mieście Cieszynie się znajdującym. Podaje Jan Wondráček 1865 (g. kat.).

Ueber die modale Bedeutung des böhmischen Instrumentals von Franz Bartoš 1868 (g. kat.).

Einige Bemerkungen zur böhmischen Syntax von Franz Bartoš 1869 (g. kat.).

⁵⁾ Nikolaus II (1318—1365) von Gottlieb Biermann 1871 (g. ew.).

Verfassungsgeschichte der Stadt Troppau bis 1614 von Gottlieb Biermann 1872 (g. ew.).

⁶⁾ Einige Quellen zur Geschichte Schlesiens überhaupt und des Herzogtums Teschen insbesondere 1852 (bez podania autora — g. kat.).

Das Baron Cselesta'sche Convict 1854 (bez pod. autora — g. kat.).

Versuch einer Parallele zwischen griechischem und römischem Volkscharakter von Theodor Pantke 1854 (g. kat.).

Memoriale Comitibus Benedicti Oxenstion legati Sueciae in Austria, directum ad Suam Caes. Reg. Apost. Maiestatem Ferdinandum III anno 1674 von Christophones de Abele 1854 (g. kat.).

Kaiser Julian der Abtrünnige von Josef Wolf 1855 (g. kat.).

Der Anteil des Babenbergers Leopold V an dem sogenannten dritten Kreuzzug mit besonderer Berücksichtigung des Verhältnisses, in dem Leopold zum englischen Kö-

nige Richard stand. Mit einem Anhang über Ansberts „Geschichte vom Kreuzzuge Kaiser Friedrichs I“ von Paul Wallnöfer 1861 (g. kat.).

⁷⁾ Ueber Art-Bestimmung in der Naturgeschichte überhaupt und in der Botanik insbesondere von Dr. Josef Fischer 1852 (g. kat.).

Ueber Akklimatisation der Tiere und Pflanzen von Oskar Zlik 1864 (g. ew.).

⁸⁾ Bemerkungen über imaginäre Grössen von Johann Mrhal 1856 (g. kat.).

Geometrisches Bild binomischer Gleichungen mit imaginären Coefficienten und die geometrische Bedeutung ihrer Wurzeln von Johann Odstrčil 1863 (g. ew.).

⁹⁾ Berechnung der sphärischen Aberration bei einem sphärischen Hohlspiegel von Wenzel Pscheidl 1873 (g. kat.).

Farbenerscheinungen an behauchten oder bestaubten Spiegeln und Glasplatten von Dr. Joh. Odstrčil 1873 (g. ew.).

¹⁰⁾ Die Musik in ihren Beziehungen zu den übrigen Künsten und zur Wissenschaft von Josef Smita 1862 (g. kat.).

Die Musik als Bildungselement für Schule und Staat, Fortsetzung des Progr. d. vor. Jahres von Josef Smita 1863 (g. kat.).

¹¹⁾ Steht der Erfolg des gegenwärtigen Latein-Unterrichtes an den k. k. Gymnasien mit den gerechten Anforderungen an ihn im richtigen Verhältnis und wenn nicht, wie liesse sich dasselbe erzielen? von Eduard Siegel 1858 (g. kat.).

Die Schule und der Zeitgeist in ihrer Wechselwirkung von Paul Kaiser 1865 (g. ew.).

Ueber den Religions-Unterricht auf d. k. k. evang. Gymnasium in Teschen von Lic. theol. R. Borbis 1867 (g. ew.).

Der geographische Unterricht an Gymnasien von Dr Karl Schober 1869 (g. kat.).

Der politische Teil des Geschichtsunterrichts von Manuel Raschke 1870 (g. ew.).

Die Chemie als formal bildendes Element an Volks- und Bürgerschulen von Josef Smita 1872 (g. kat.).

¹²⁾ Księga Pamiątkowa ku uczczeniu 40 rocznicy założenia stowarzyszenia „Jedność” w Cieszynie (zredagował dr Jan Galić), Cieszyn 1926, Nakładem Komitetu Jubileuszowego.

Krok za krokiem w dół

Ks. Badura — przyszły Polak pod rządami pruskimi i „wróg Niemców”, jak go obecny pastor międzyborski przezwiał — urodził się w roku 1845 na Śląsku Cieszyńskim. Gimnazjum ukończył w Cieszynie, skąd w roku 1864 przeniósł się na fakultet teologiczny do Wiednia, a potem do Lipska.

Pierwszą posadę otrzymał w cichej dolinie alpejskiej, w Tressdorfie (Karyntia), w jednym z pierwszych austriackich kościołów ewangelickich. Przebywał tam krótko, bo zaledwie od grudnia 1868 do marca 1870, jako wikary przy seniorze Baerze, ale przez ten czas zyskał sobie przychyłność i pełne zaufanie parafian Niemców.

W korespondencji z Tressdorfu (Zwiastun Ewangeliczny, 1869, str. 142) zwraca Badura uwagę na jedną z ujemnych stron życia tamtejszych górali — zakorzenione pijaństwo. Na tym tle napisał też obrazek-nowelkę pt. „Krok za krokiem w dół”. Rękopis zachował się, niestety, niezupełny, ale ostatnia karta pozwala nam wyczuć myśl Autora i zakończenie wysnuć samodzielnie.

Drugi ten po „Studentach cieszyńskich” (Gwiazdka Cieszyńska, 1865, nr 46—51) obrazek wskazuje, że prócz kaznodziejskiego posłannictwa tkwiło w sercu przyszłego proroka i coś weselszego, więcej przemawiającego bezpośrednio do sielskiego odczucia. Temat poniższy był pociągający nie tylko ze względu na stosunki, wśród jakich młody pastor pracował, ale i dlatego, że sam był wrogiem pijaństwa, o czym świadczy całe jego przyszłe życie.

Jan Broda

I

— Kreuzbergen! Wszyscy wysiadać! — wołali konduktorowie i otwierali drzwi wagonów. A podróżnym, co mieli dalej jechać boczną linią do Ellingen, opłaciło się wysiąść, bo musieli czekać pół godziny.

Czekanie takie jest czasem ludziom nie na rękę, więc widać też wiele twarzy zniechęconych. Znalazł się jednak przynajmniej jeden człowiek szczęśli-

wy, co dzisiaj żadnym sposobem do rozniewiania pobudzony być nie mógł, choć się mu bardzo śpieszyło, by dostać się na miejsce przeznaczone.

Był to jeszcze młody mężczyzna, rośły, kościsty i smukły, włos jego prosty i ciemnożółty, twarz blada, lecz wyrazista, a oczy siwe i mądre. Rodem z wielkiej wsi Ellingen, jedyny syn dawno już zmarłych rodziców, pilnował Jakub Dorn już od wczesnej młodości,

aby jedyną swą spuściznę po ojcach, wielkie zdolności, bez ustanku rozwijać i ćwiczyć; służył we wojsku i uzyskał wielką pochwałę, ożenił się w czas i szczęśliwie, pracował kilka lat ku zadowoleniu przełożonych przy regencji, a teraz został mianowany burmistrzem w swojej wsi rodzinnej.

Więc w tak szczęśliwym położeniu wolno człowiekowi być cokolwiek dumnym i wesołym. Nie miał on cierpliwości, by czekać w zatęchłej sali dla podróżnych, więc wyszedł na świeże powietrze. Zaledwie oddalił się od dworca na pięćdziesiąt kroków, spotkał się z nim dawny kolega szkolny, kupiec Karol Goderich, także rosły i barczysty mężczyzna, lecz kształtów cokolwiek okrąglejszych, okazały i prawdziwie piękny mężczyzna z ciemnym włosiem i starannie pielęgnowaną brodą, o wesołych brunatnych oczach, a dziś starannie i elegancko ubrany. On zaś od świętej pamięci nieboszczyka ojca odziedziczył cokolwiek więcej, jak zdrowe członki i zdolności dobre.

— Pozdrów cię Boże, Jakubie! — zawołał on, uważając spotkanie się z Jakubem Dornem oczywiście jako niespodziankę przyjemną. — Jakież szczęśliwe wiatry zawiąły cię też tu raz w te strony?

— Teraz rzeczywiście wiatry przyjazne — odpowiedział Dorn i przyjaciele serdecznie uścisnęli sobie ręce. I żartując, dodawał Jakub tonem urzędowej powagi: — Proszę oddać mi należyte uszanowanie, bo oto widzisz przed sobą twojego przyszłego burmistrza!

Pewien złośliwy Francuz był powiedział:

„W nieszczęściu najlepszych przyjaciół naszych zawsze znajdujemy coś, co nam jakoś się podoba”. Można wyrok taki zmienić cokolwiek i powiedzieć: „Niespodziewane szczęście przyjaciela, nie jest nam zawsze całkiem przyjem-

ne”. Tak! brzydki towarzysz, co mu na imię zazdrość, drzemie niemal w każdej piersi i lubi budzić się przy stosownej okoliczności. Ale nie zawsze; idzie o to, jakiego rodzaju jest człowiek sam i w jakim położeniu on się znajduje.

Oblicze Karola rozjaśniło się z szczególnej radości.

— Hura, stary Jakubie, to wyśmiejcie! — zawołał on wesoło.

— Z tego powodu musimy sobie też trącić kieliszkami.

Wstąpili do ogrodu restauracji. Nadbiegł usłużny kelner: — Czy dwa boki, mości panowie?

— Rozumie się — skinął głową Karol — ale biegiem, tak prędko, a wprzód proszę o kieliszek — kieliszek koniak!

— Zaczekaj! — zawołał Dorn, — precz z piwem, a nade wszystko precz z okowitą. Butelka Deidesheimera nie wywoła ci zaziębień żołądka. A sądzę, że dzień dzisiejszy godzien jest pokropienia winem najcelniejszym.

— Masz słuszność, chłopcze — większą, aniżeli sam wiesz. A czy nie spozostregasz u mnie co osobliwego? — I cichym szeptem, jakby w nadmiarze szczęścia mówić nie mógł, dodał: — Właśnie co prosiłem o rękę panny Marii Wahlingówny i otrzymałem słowo.

— Moje najserdeczniejsze życzenia! — rzekł Dorn i uścisnął mu rękę. — Piękne dziewczę — stosujecie się do siebie. A do tego bogata. Ojciec ma być trochę dumny i uparty.

— Niech to pozostanie między nami, — nie było to lekko, pozyskać jego przyzwolenie. Inaczej już bym był dawno poszedł za twoim przykładem. Lecz moja miła starka też poszła do głowy po rozum. Uznała to, że do sklepu trzeba młodej kobiety. Więc mi zapisała kamienicę, a dla siebie pozostawiła tylko kilka pokoi. Wiano starczy, aby spłacić rodzeństwo, albo powięk-

szyc handel, co by jeszcze lepiej było. Jako rzekłem, wszystko wymienione, stary Jakubie! Na zdar!

— Narzeczona twoja niech żyje!

— Dobrze! A teraz żona twoja!

— Dziękuję pięknie — zamelduję jej to.

— A teraz na naszą własną pomyślność!

— Z ochotą! — Lecz teraz tego dość. Bo gdybyśmy dalej tak ciągli, to by butelka nam nie starczyła.

— Restaurator ma jeszcze więcej w piwnicy.

— Od szczęścia. Ja także. Dwóch wesejszych od nas chłopców zapewne nie ma dzisiaj pod słońcem na świecie szrokim.

Na chwilę zaległa cisza w altance, jeszcze nie dającej cienia. Potem rozpoczął mowę na nowo Jakub: — Czy jesteś w radzie gminnej?

— Tak, na początek tylko jako zastępcę za członka zmarłego. Na jesień będą nowe wybory.

— Mam nadzieję, że znajdę stosowne pomieszkowanie. Na ratuszu, co by było najnaturalniejszym, to sławetni panowie radcy nie chcecie już cierpieć burmistrza.

— Nie, bośmy od twoich zbytujących poprzedników doznali niemało niedobrych rzeczy. Lecz bądź bez troski. Już mam coś stosownego dla ciebie. Jakżeż się cieszę. Jakżeż się cieszę, że właśnie ty tu dostać się musisz. A, to będzie życie wesołe!

— Ellingen ma przyszłość przed sobą, i spróbujemy, co z tego starego, miłego gniazda da się zrobić.

— A ja też mam przyszłość przed sobą i spróbuję, by zacnym moim współobywatelom pokazać, co da się zrobić z lichego kramu. Jeszcze zadziwią się nad rycerzem od łokcia, nad kramarzem bukskinowym!

Tak rozkoszowali sobie, nakreślając śmiało projekty na przyszłość i żywiąc wesołe nadzieje, do czego mieli też pełne prawo. Młodzi, zdrowi, zdolni, doznawający powodzenia, śmieli według rachuby ludzkiej spodziewać się radośnej przyszłości. Wśród ożywionej rozmowy upływał im czas tak szybko i miło, jak mocne wino przez gardziel.

— Czy naprędce nie wychylimy jeszcze jednej butelki? — pytał się Karol, nalewając do kieliszków ostatek.

— Nie! — zawyrokował Jakub. — Musimy bez niej udać się w drogę.

— Więc trącimy tym lichym ostatkiem na spełnienie się świetnego życzenia! Za dwadzieścia lat ty starszym burmistrzem, a ja milionerem i radcą komercyjnym!

— Jam nie tak drogi — rzekł Dorn z uśmiechem. — Żeby się nam dobrze działo! A ty mnie mężnie popieraj w radzie gminnej. Pewno i żony nasze będą się z sobą zgadzały. A teraz chodźmy!

Pośpiesznym krokiem zdążyli na pościąg mający już odchodzić, i w wesołym usposobieniu pędzili pośpiechem pary do wsi rodzinnej.

II

Rodzinny dom Karola na rynku zawsze był ozdobą całej miejscowości, a i teraz, zupełnie odnowiony i w wielkie okna wystawowe zaopatrzony, dopiero wyglądał wspaniale. Z daleka błyszczał on złotymi literami napisu: „Skład sukna Karola Godericha”. A kto dał się zwabić, znalazł na składzie bogaty wybór towarów o cenach przystępnych i przy obsłudze akuratszej, jeśli nie od samego kupca, to przecież od młodej żony jego, od wypróbowanego pomocnika i zgrabnego ucznia. Karol dotrzymał słowa, i cokolwiek ciemny i ciasny kąt zmarłego przed dwoma la-

ty ojca swego przerobił na obszerny i błyszczący sklep. Nie darmo był on zabawiał w wielkim mieście i bywał w podróży. Znał się on na handlu.

Gdy z daleka przyszedł kto po towar, co obiecywał jaki zarobek, bogaty chłop z kobietą swą, by zakupić wyprawę dla córki, to zwykle nie dobijali targu na sucho. Zmusili ich wstąpić do izby mieszkalnej i ugościli kawą i plackiem, lub czym bądź innym, co o tej porze było pod ręką. Karol przyniósł z piwnicy buteleczkę i zachwalał, że to „nie ciężkie, ale czyste, od samego winiarza wytłoczone i nie sprawia bólu głowy” — a poczciwi i oszczędni wieśniacy uradowali się z tego, że tak tanio i dobrze się napili i tak po przyjacielsku tręcili kieliszkami z takim grzecznym i znakomitym panem.

Toć tego, kto kupi tylko łokieć bawełniaka, nie można uraczyć nektarem z winnicy brauneberskiej, lecz w takim przypadku wyborny jest także kieliszek gorzkiego sznapsika, ocukrzonego słodkim słowem.

Młoda pani kupcowa, choć z domu przyzwyczajona była do czegoś innego, jednak bardzo łatwo umiała sobie w sklepie poradzić. Sprawiało jej to przyjemność przyjmować kupujących z grzecznością wyszukaną, nie wyjmując ludzi najmiłszych. Za wielki honor miała to staruszka, uboga praczka, gdy ją pani kupcowa nazywała „panią”, albo inna, co kupiła nici za cztery fenigi, otrzymała tytuł „kochanej sąsiadki”. To wabiło; a do takich miłych ludzi idzie się potem także, gdy coś większego kupić trzeba. A gdy wieczorem porachowało się przychód dzienny, częstokroć znaczny, to pani Goderichowa słusznie mogła mówić, że cząstka słodkich jej słów zamieniła się na bity pieniądz.

Natomiast przebiegała ona w kółku przyjaciół, z którymi obcowała i otwarcie też wygadała się pewnego razu przed panią burmistrzową: „W sklepie jestem posłuszną służącą wszelkiego rodzaju ludzi, ale żeby się przyjaźnić, to do tego oprócz państwa, stosują się zaledwie trzy albo cztery rodziny.”

Może to było słowo nierozważne, lecz cokolwiek zarozumiałości i próżności nie można mieć za złe niedoświadczonemu wiekowi młodemu. A pani burmistrzowa Dornowa była też kobietą rozumną i dobrą, albowiem z wielkim trudem zatrzymała ona nierozważne słowa u siebie przez całe trzy dni, a dopiero na czwarty dzień zwierzyła się z nimi najlepszej przyjaciółce swojej, rozumie się pod warunkiem zachowania najściślejszej tajemnicy. I trudno rozumieć, jakim sposobem tajemnica ta rozeszła się tak prędko po całej wsi.

Matka Karola mieszkała z najmłodszą swą córką osobno, w kilku przyjemnych pokoikach na pierwszym piętrze i gospodarzyła sama dla siebie. Wypadło to cokolwiek drożej, lecz miało to także swoje wielkie korzyści. Dobra staruszka kiwała z początku głową, gdy syn zaczął budować, sklep powiększać i tak narażał się na znaczne wydatki. Lecz gdy spostrzegła, że ruch w nowym sklepie się powiększył, towary też się szybko wyprzedały, to z niekłamaną miłością łączyło się też podziwianie swego najstarszego i okazałego syna. Jaśniały jej oczy, gdy mówiła o „naszym Karolu”, który przy obrachunku z rodzeństwem postąpił sobie tak „rzetelnie”, który uroki płaci punktualnie i w ogóle jest człowiekiem ludzkim, a bynajmniej nie łapigroszem. „Nie potrzebuje on tego” — dodawała ona także, „bo on zna się na rzeczy i zarabia”.

„Tak, to nawet blada zazdrość przyznać musi”, przytakiwała potem ta

i owa ciocia. „Handel jego kwitnie. Za dziesięć lat będzie on najbogatszym człowiekiem w mieście.”

„Jak Bóg zdarzy. Jam jest zadowolona, jeżeli tylko ma pocziwy chleb. Ale pani kumotro! jeszcze jedną filizankę, i jeszcze kawałek placka; jest on dosyć kruchy, synowa mi go tu przysłała na górę.”

W tymże czasie objął rządy nowy burmistrz, ręką łagodną, ale stanowczą. Po dawnej wygodnej gospodarce, czyli raczej po niedbalstwie dotychczasowym, było dużo trzeba uprzątać i niejedną rzecz nową zaprowadzać. A chociaż dosyć miał przezorności, żeby nie zaraz brać się do wszystkiego, to jednak poznawali obywatele pocziwi, zwłaszcza niektórzy cokolwiek wygodni panowie w radzie gminnej, że stał na czele gminy jakiś inny człowiek i umiał też rozbudzić cokolwiek większą ruchliwość. Ten i ów wstrząsał ramioną, lecz w ogólności przyznano, że nowy burmistrz ma najlepsze chęci i nawet wykazać się może pomyślnymi skutkami swych zabiegów. Jakoż już za kwartał cofnięto jednogłośnie dawniejszą uchwałę i czcigodnemu panu burmistrzowi przyznano piękne mieszkanie na ratuszu.

„Zasługuje on na to, bo przynajmniej robi coś!” — tak mawiano i czcigodni obywatele słusznie cenili sobie wysoko pracowitość.

Jednak po pracy lubili także niewinną rozrywkę. Więc pewnego cudnie miłego dnia w jesieni wybrały się lepsze rodziny piechotą i na wozach z drabinami na zabawę do lasu. Na wyrębie na pagórku poustawiano stoły i ławki, strudzeni zasiedli, rozpakowali ciężkie kosze z chlebem i pieczenią, wprawili kurek do beczki piwa, odkorkowali butelki o długich szyjach, i rozkosznie smakowało jedzenie na świeżym powietrzu i mile spijało się chłodny tru-

nek, a młodzież tańczyła ochoczo na trawniku, i pełno wszędzie serdecznego śmiechu i żartów wesołych.

Minęło jakby lotem kilka godzin.

— Tu lepiej, jak na terminie! — wołał sędzia.

— A zdrowiej, aniżeli w najpiękniejszej klasie — zawtórował mu nauczyciel.

— Żeby to można tak żyć zawsze — westchnął mały aptekarz.

— Tobyśmy obydwaj nie mieli z czego żyć — żartował doktor — bo na takim powietrzu nikt się nie rozchoruje.

Także młoda pani Goderichowa nacieszyła się pięknym popołudniem i z tajoną dumą spoglądała na okazałą postać swego męża, który jako członek wydziału, urządzającego zabawę, z szykiem pilnował obowiązku swego. Tylko pod koniec zabawy miała do kielicha radości niestety dostać się dla niej kropla gorzkości.

Jej Karol był dobrym śpiewakiem, tak w chórze jak i na jeden głos; teraz śpiewał on śmieszna śpiewkę jako rozmowę pomiędzy żydem a oficerkiem. Jest to osobliwy dar, kto go ma, rozśmieszeniem bawić liczniejsze towarzystwo. Bo czasami nie wiedzieć, gdzie się kończy wesołość, a rozpoczyna błazeństwo. A zaczyna to być niedobrym, gdy nie tylko śmiejemy się z śmiesznej rzeczy, ale schodzimy do wyszydzania osoby. I oto biednej młodej żonie zdawało się, jakby mąż jej już był przekroczył granicę wesołości i wpadł w błaznowanie.

Jak jej to było przykro widzieć męża, udawającego błazna, a jemu podobno się to widocznie. Bolały ją głośne śmiechy widzów i nawet szczere pochwały raniły ją. Odetchnęła, gdy rzecz doszła szczęśliwie do końca i Karol wśród gromów oklasków przystąpił ku stołu, niepewną ręką nalał szklanek i wypił ją duszkiem.

— Usiądź teraz — prosiła go uprzejmie i usuwając się, ustępowała mu miejsca.

Ale on jej nie słyszał, jeszcze oszołomiony pochwałami i oklaskami. Zażawionym okiem spojrzął około siebie i zawołał: — Jeszcze umiem jedną śpiewkę — serenadę.

— Proszę, Karolu — szepnęła żona — usiądź przy mnie, rzeczywiście już tego dość.

— Istotnie pyszne — najlepsza moja sztuczka — w niej prześcigam samego siebie.

— Brawo! — wołali niektórzy, złośliwie spoglądając na Marię, bliską płacz, która daremnie usiłowała ściągnąć męża na ławkę, aby usiadł. Tylko burmistrz, dotąd bardzo wesoły, pośpieszył jej na pomoc. — Innym razem, stary przyjacielu! Obawiam się, że już nie ma czasu, jeżeli z powrotem mamy jeszcze przejść obok jedenastopiętnego buka.

Więc po większej części zabierali się ludzie do powrotu i odchodzili po mału parami albo gromadkami. Ale Karol zachmurzył się i usiadł i pozostał siedzieć.

— Czy nie pójdziemy także? — pyta się żona nieśmiało.

— Nie!

— Przecież jeszcze więcej nie będziesz już pił?

— Będę!

— Rzeczywiście uważam, że już masz dość!

— Nie!

Już było zupełnie ciemno, gdy na koniec przecież przybyli do wsi, i Maria miała przynajmniej tę pociechę, iż nie widział nikt jej wstydu, że musiała prowadzić męża pijanego i taczającego się. On zatoczył się do łóżka i prędko usnął snem pijanego; a ona, choć młoda i zmęczona, długo szukała daremnie snu i zapomnienia.

To był pierwszy krok w dół.

III

Nazajutrz rano, skoro z mężem przy rozumie rozmówić się mogła, przypomniała mu żona wczorajsze jego zachowanie się i nie zataiła przy tym swego rozdrażnienia. Lecz choć jemu wino wyszumiało z głowy, to jednak był jakiś zły, nie wiedzieć, na kogo i odezwał się opryskliwie: — Pijany byłem, mówisz? Grubiańskie to słowo. Lecz — cóż by to było tak straszego?

— Karolu! — zawołała żona przełęczniona. On nie spojrzął na nią, lecz spokojnie mówił dalej:

— Kto nie znajduje się po pełni więcej razy, jak księżyc, ten oczywiście uchodzi za bardzo poważnego człowieka.

Lecz ona teraz zapłakała tak żałośnie, że on zdziwiony spojrzął ku niej, uściśnął ją i uspokajać zaczął.

— Nie martw się, duszko — ja przecież tylko żartuję, nie płaczże przecież tak żałośnie! — a czyś dotąd spostrzegła u mnie coś pijackiego? Wczoraj to tylko w rozdrażnieniu zapilem się cokolwiek i to cała historia! Tak, otrzyj sobie miłe twoje oczka i luby nosik i daj mi całusa — a teraz wszystko znowu dobrze, po dawnemu, nieprawdaż?

Dała się wprawdzie udobruchać, lecz uczucie jakiejś obawy pozostało jej w duszy. Starego ojca swego nie była, ona nigdy widziała jako pijanego.

Odtąd zwróciła ona na męża baczniejszą uwagę i rychło spostrzegła aż zanadto niemiłych rzeczy. Karol nie tylko z kupującymi ludźmi pijał nad potrzebę, ale i po obiedzie, gdy kupcy odeszli do sklepu, brał sobie z piwnicy to tą, to ową buteleczkę, czasem w milczeniu, czasem też z wesołymi

dowcipnymi słowami, którymi się uniewinniał.

— Otóż widzę, że mam jeszcze jakąś lichą kroplę — nie, to nie uchodzi, to trzeba kark skrócić całej butelce. — Kiełbasa była znakomita, lecz trochę za tłusta; to ją trzeba zalać kieliszkiem czerwonego. Tłustą kiskę zalej kieliszkiem, hahaha! to się nawet rymuje! — Nie wiem, dlaczego mój żołądek dzisiaj taki cudaczny, — pewno trzeba spróbować benedyktyнки. — A gdy ona zaczęła mu przymawiać, to on pogłaskał ją i łagodził mówiąc: — Dziecko, to pierwsza kropla, którą dziś piję. — Że drogie! Tylko nie lękaj się — sklep to znosi. — Kupczycy? Mogą oni to widzieć, ja się tym wcale nie turbuję. W ich wieku jeszcze nie piłem wina regularnie. Tak, przy obiedzie, i to dziś jeszcze jest wyjątkiem.

— Wyjątkiem — powiada pani Maria — co się prawie co dzień powtarza.

— I cóż to szkodzi, jeśli mi to służy? — odpowiedział on, śmiejąc się. — Robotnik godzin jest zapłaty swojej. Ja się męczę pracą pocziwie i chcę też wiedzieć po co?

— Ale wychodzisz zanadto często — narzeka żona.

— Tak jest, kochana Mario. Ale to nie dla rozkoszy, lecz z polityki. Muszę się pokazywać i ludziom dać też jakiś grosz zarobić. Zdarza się, że sam niemal nic nie piję, a goszczę tylko innych, aby przecież przystojny płacić napitek.

— Niemal każdy wieczór przepędzasz w kasynie!

— Zwykle tylko na godzinkę. Ale to dla rozrywki, nie dla kupiectwa, przynaję to.

— Rozrywki życzę ci z całego serca, to pewna. Gdybym tylko nie musiała się lękać, że powoli, nieznacznie, zapuścisz się w opilstwo.

— Hohoho! — zawołał on głośno i dobroduszenie. — Wybierz sobie głowę podobne głupie myśli! Czy, oprócz onej zabawy w lesie, widziałas mię kiedy, nie mówię już pijanego, ale tylko choćby trochę podchmielonego?

Tego mówić ona nie mogła, bo albo miewał się na baczności, albo już był w tym stanie chorobliwym, że mógł dużo znosić. Mrukliwym trunek go przynajmniej nie czynił, lecz owszem wesołym i przyjemnym. Był on w ogóle uprzejmym i łagodnym człowiekiem.

Tak szybko szła mu robota od ręki, a słowa tak gładko z języka, gdy wyciągał z półek jedną sztukę towaru za drugą, przedkładał do obejrzenia, zachwalał i zawijał! A jak szybko i pięknie umiał on pisać, jak prędko i bez omylenia się rachować, jakżeż uprzejmie i godnie umiał on postępować z kupującymi i z wysłannikami fabryk! Miał on wielką znajomość towarów i powiększał ją co dzień. Nikt go nie mógł oszukać, ale i on sam dla każdego okazywał się jako uczciwy i godny zaufania. Coraz dalej szła sława jego, że u Karola Godericha trzeba wprawdzie dość drogo płacić, lecz natomiast otrzymuje się też towar jak najlepszy. A w gminie też rosła powaga jego; niemal jednogłośnie obrali go za kasjera kasy oszczędności, którą ruchliwy burmistrz powołał do życia.

Wszystko to bardzo cieszyło młodą żonę, co troszeczkę z dumą spoglądała na okazałego męża swego, i to też pomagało jej zwalczać pewne obawy, które trapiły ją czasem. Pewnego atoli wieczora, gdy już jedenasta była wybiła, a ona jeszcze czekała na męża daremnie, tak było jej duszno i markotno samej jednej, że poszła po schodach do teściowej, do matki męża, z którą zawsze zgadzała się bardzo dobrze.

Staruszka jeszcze nie spała i cierpliwie słuchała narzekań synowej.

— Nie frasuj się tym tak bardzo, Marysiu — pocieszała synową. — Trochę piją oni wszyscy.

— Wszyscy! — powtórzyła synowa, jakby była usłyszała coś niezwykłego. — Mój ojciec nigdy!

— To był on białym krukiem. Mój nieboszczyk też wychylił kufel, jak i ojciec jego przed nim, a nasz Ludwiś tygodniami żyje jak pustelnik, lecz przy sposobności, przy każdej jakiejś uroczystości też sobie podchmieli. Zaś nasz Karol, ten to sobie rozdziela na więcej razy. I tak ma każdy swój sposób.

— Ach, byłaby to rzecz straszna, gdyby wszyscy mężczyźni temu nałogowi ujarzmić się dawali. Nas nazywają oni „płcią słabą”, lecz bez czego my się obywać możemy, tego właśnie oni nie mieliby uważać za coś koniecznego potrzebnego dla siebie. Zawsze mię to jakoś pchnie głęboko aż w serce, gdy spostrzegam, że Karol jest „podchmielony”.

Matka westchnęła. — Bądź zadowoloną, jeżeli nie będzie gorzej. Trzeba być cierpliwym.

— Niedaleko dwunasta, a jego jeszcze nie ma.

— Oto dzwoni on. Idźże teraz, a nie powiedz mu tylko teraz cierpkiego słowa, czy słyszysz? Lepiej jutro rano, chociaż i to niewiele pomoże. Łagodności, uprzejmości użyj Marysiu!

Młoda żona usłuchała rady staruszki i doznała tego zadowolenia, że mąż wyjąknął jakieś przeproszenie i bez gniewu i hałasu, bardzo cichutko położył się spać.

Cichość ta i skromność miała atoli swą osobliwą przyczynę. Burmistrz bowiem, człowiek, co zwykle rządził ze zegarkiem, tego wieczora zabawił się w kasynie aż do krańca, aż odeszli do domu wszyscy, a potem ku zdziwieniu i ku radości przyjaciela jeszcze kazał podać sobie kufel piwa.

— Brawo! — zawołał Karol i zanucił śpiewkę pijacką.

Lecz Jakub przerwał mu: — Nie dla śpiewu zatrzymałem się tu tak długo, aby sam na sam pomówić z tobą poważnie.

Karol nadstawił ucha i wytrzeszczył niemal zupełnie.

— Lubię zabawiać się w wesołym towarzystwie po utrudzeniu i po kłopotach całego dnia — mówił dalej Jakub — i żeś mi zawsze był najmilszym w towarzystwie, tego zaiste nie muszę ci dopiero powiadać. Lecz jedna rzecz już często była mi przykrą, a to ta, że ty zaraz na początku bywasz żywszy i weselszy, aniżeli inni, aniżeli ja sam. Jesteśmy obaj niemal w równym wieku; czyż ja, biedna dusza od pióra, miałbym już być zgryźliwszym i zimniejszym, aniżeli ty? Zapewne nie! Ale dziś odgadłem tajemnicę. Ty już pijesz przedtem, i przychodzisz pomiędzy nas już podochocony!

— A kto śmie mówić coś podobnego? — szorstko odezwał się Karol.

— Ty wypijasz parę kufelków w browarze, albo na poczcie, kufelek na poczekaniu tu i tam, i nie gardzisz nawet sznapsikiem w karczmisku.

— A, ty mię szpiegujesz? Łazisz za mną?

— Bądź spokojny! Mniejsza o to, skąd ja to wiem; jest to niestety prawda. A jako dobry przyjaciel mówię ci z szczerego serca i z wszelką powagą: Człowiecze, nie pij tyle. Nie rzucaj się w opilstwo!

Karol rozszrożył się naturalnie, zmarszczył czoło, rzucał błyskawicami z ciemnych swych oczu, upiększał i uniewinniał głupie swe postęпки i wyrzucał potem przyjacielowi swemu: — Tyś też nie jest najświętszy!

— Nie — odpowiedział burmistrz spokojnie — wino i piwo są darami,

godnymi dziękowania, a ja życzę sobie i innym skromną ich częśćkę.

— Aha, widzisz go!

— Tak; ale trzeba być tak mocnym, żeby zachować miarę. Są ludzie, którym by rzeczywiście było konieczną potrzebą i największym pożytkiem, żeby nie pili ani kropli trunku i obawiam się, że mój kochany i ty do nich należysz!

— Oho!

— Daj mi dowód, że tak nie jest. Porzuc zupełnie diabelski sznaps, i wino i piwo, gdy nie jest na czasie, i nie rzucaj siebie na języki ludzkie — mam za prawdę dobre myśli względem ciebie. Inni też, ale boją ci się to powiedzieć.

Na zdrowie twoje miły chłopcze! A teraz do domu.

Takim sposobem stało się to, że Karol niemal wytrzeźwiony powrócił do domu i po cichutku położył się spać i też przez kilka dni następnych był cokolwiek spokojniejszy i poważniejszy.

Taki był drugi krok w dół.

IV

Nie ma potrzeby, żebyśmy dalsze życie Karola Godericha opowiadali tak obszernie, jak pierwsze lata małżeństwa jego. Bo rozumny czytelnik z opowiedzianego początku dorozumie się dalszego ciągu tak, jak dobry śpiewak rozpoczętą [rozpozna pieśń]...

Óndra Łysohorský

Přemjéna

Dweřy a okna še pozotwirały.

Dalky do małej izbečky dychały.

Wčil hrób popraskany će twérdo swiro.

Wéter w łukach jak w strunach přebiro.

Co řesu či kwitka letnimi polami?

Ty dychoř powětřym, hrudu, wodami.

Ile było roczników „Poradnika dla Ludu Górno-Śląskiego”

Notatka moja w „Zaraniu Śląskim” z r. 1938, str. 299—301, wywołała niespodziewane echo. Oto świetny znawca i zbieracz Silesiaków p. radca Konstanty Prus w liście do mnie z dnia 20 stycznia 1939 pisze, co następuje: „Posiadam komplet wyborczy tego czasopisma. Dwa pierwsze roczniki są oprowione współcześnie po ich wyjściu z druku, trzeci rocznik dałem ja oprawić nieco podobnie do pierwszych. Te 3 roczniki wyszły drukiem Kirscha w Bytomiu w latach 1851—1853 i każdy z nich ma 96 stron. Atoli w r. 1854 wyszedł u Heneczka w Piekarach poważny dodatek do tego czasopisma: „Nadzwyczajny Dodatek do Urzędowego Tygodnika (Amtsblatt) Królewskiej Regencji w Opolu Nr 51 — 1853. Dodatek i Ciąg dalszy „Poradnika Górno-Śląskiego”. Własnym nakładem Karola de Koschützki. Dosłownie tłómaczył Józef Lompa, tłómacz przysięgły. Drukiem Teodora Henetzek w Niemieckich Piekarach przy Bytomiu G. Ś. Cena jednego egzemplarza 3 sgr.” Format i druk prawie taki sam jak w poprzednich rocznikach „Poradnika” — stron w całości 44. Zawiera rozporządzenia policyjne (bardzo obszerne) o Ochronie lasów państwowych, gminnych i prywatnych, dalej różne zarządzenia i ob-

jaśnienia urzędowe do tego Rozporządzenia regencyjnego, wydane do dnia 15 marca 1854. — Wydanie tego dodatku było bardzo ważne dla ludu polskiego, aby go ostrzec i uchronić od surowych kar, które sankcjonowano za różne nowe przestępstwa leśne (pasienie bydła w cudzych lasach, zbieranie ściółki, żywicy, korzeni).

Ponieważ p. radca Prus, zajęty innymi pracami, nie zamyśla napisać szerzej o tym czwartym roczniku „Poradnika”, pozwoliłem sobie na podanie powyższego wyjątku z jego listu, aby uzupełnić moją notatkę wiadomością o trzecim wzgl. czwartym i to najpełniejszym egzemplarzu „Poradnika dla Ludu Górno-Śląskiego”.

Wincenty Ogrodziński

Śląskie ule kładowe

W 1937 r. ukazała się nakładem Polskiego Towarzystwa Zootechnicznego praca Stefana Blank-Weissberga pt.: „Barcie i kłody w Polsce”, oparta na dotychczasowej literaturze oraz własnych badaniach, poczynionych w latach 1935-36. We wstępie swej pracy autor zastrzega się, że opracowanie jego nie może „rościć pretensji do wyczerpującej monografii” oraz „że braki dotyczą raczej detali a nie faktów podstawowych”. Przytoczone tu oświadczenie nie usprawiedliwia jednak fak-

tu całkowitego pominięcia w tej rozprawie śląskich uli kładowych, tym więcej, iż autor na stronie 81 swej rozprawy zaznacza, że według badacza Armbrustera (1926) zasięg uli kładowych a dawniej barci wykreśla dawny zasięg Słowian zachodnich na terenie państwa niemieckiego. Obecność więc uli kładowych na Śląsku podkreślałaby według powyższego słowiańskość wy-

święcono 2 strony pszczelarstwu, a między innymi opisano ule kładowe Beskidu śląskiego uzupełnione zdjęciem fotograficznym pasieki kładowej (ryc. 1). Opis ten dotyczący południowego skrawka województwa śląskiego zwróciłby niechybną uwagę autora na pozostały teren Śląska. Jeżeli jednak pominięcie tej pracy mogło ująć uwadze autora, to dziwnym się wydaje nieuwzględnienie



Ryc. 1

Część pasieki z uli kładowych w Brennej (pow. cieszyński)

mienionego obszaru, tak często negowaną przez Niemców. Na Śląsku zaś znajdują się do dziś liczne i piękne okazy uli kładowych, rozsiane po całym terenie (por. ryc. 1, 2, 3).

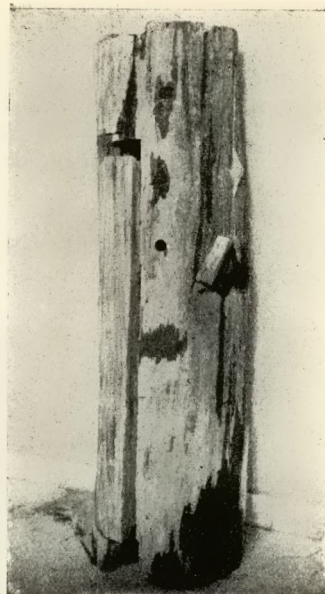
Gdyby autor wykonywał swoją pracę nawet jedynie przy biurku i sumieniej przejrzał polską literaturę etnograficzną ostatnich lat, byłby niewątpliwie zauważył pracę podpisanego pt. „Zarys kultury materialnej górali śląskich” (Katowice 1936), w której po-

w takim opracowaniu zbiorów muzealnych w Polsce, tym więcej, że autor odbył kilkadziesiąt wycieczek po różnych okolicach kraju, celem zapoznania się ze stanem pszczelarstwa¹⁾. Mam tu na myśli dział etnograficzny Muzeum Śląskiego w Katowicach, który zalicza się obecnie do największych w Polsce (około 7.300 okazów). Dział ten uwzględnia w swych zbiorach oczywiście

¹⁾ Op. cit. str. 6.

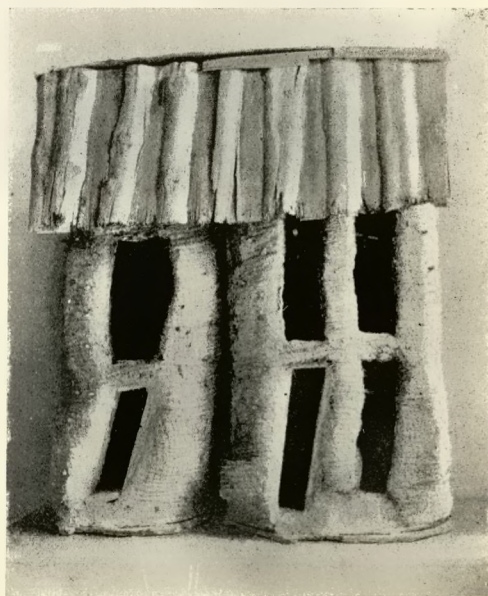


Ryc. 2
Ule kładowe dębowe z Zielonej,
pow. lubliniecki



Ryc. 3
Ul kładowy z Kryn, pow. pszczyński

również pszczelarstwo, głównie śląskie. Tuż przy samym wejściu do Muzeum stoi rząd uli kładowych, niby strażników dawniejszych zabytków kultury śląskiej. Przedstawiciele swoich mają tu południowe i środkowe powiaty województwa (cieszyński, bielski, pszczyński, świętochłowicki), między nimi są osobliwości w rodzaju wielkiego ula kładowego „trojaka” w rozdwojonym pniu drzewnym, oraz ule piętrowe, plecione z wałków słomianych, stanowiących przypuszczalnie ciekawe przejście od uli kładowych do słomianych (ryc. 4). Śląskie ule kładowe są zupełnie podobne do tych, które występują w innych częściach Polski, nie różnią się one specjalnie ani wysokością ani podłużnymi otworami rozszerzającymi nieco ku środkowi kłody, a różny materiał, z jakiego je wykonywano (buk, topola, wierzba, dąb), mogły dla ba-



Ryc. 4
Ule słomiane z Zarzecza, pow. bielski

dacza być bardzo ciekawym obiektem dociekań. Właściciele pasiek stawiają ule zwykle rzędem, nakrywając je przeważnie wspólnym daszkiem gontowym lub dranicowym albo czasem słomianymi czapkami. Gdyby autor uwzględnił kolekcję uli kładowych w Muzeum Śląskim oraz zasięgnął informacji, jakich mogliby udzielić tutejsi pracownicy o ulach kładowych, rozsianych na obszarze Śląska, byłby zapobiegł nieusprawiedliwionej luce, jaka powstała w jego pracy. Niestety zapomniano o śląskich ulach kładowych, które u samego wstępu do Muzeum Śląskiego w Katowicach rzucają się w oczy wszystkim zwiedzającym.

Longin Malicki

Sennik z Brennej

Spisała Ernestyna Świbianka (Brenna)

Część I (D—K)

- Dziecko widzieć piękne: — radość; szpatne (brzydkie) — na krzyk.
- Dziewczęta młode całować: — powadzisz się z galanką (pokłócisz się z kochanką).
- Dziewczęta widzieć ubeczane (widzieć płaczące): — użyjesz mocka (dużo) miłości.
- Dzikie zwierzęta widzieć uciekające: — niepokój i prześladowanie.
- Dzikie zwierzęta złapać: — radość, wygrać na lutryji (loterii).
- Dziewkę pytać na służbę: — niezgoda w małżeństwie.
- Dzwony widzieć: — wybudujesz sobie chałupę; dzwonienie słyszeć: — nie szczęście.
- Echo: — mili goście nadejdą.
- Fajka, widzieć ją: — zostaniesz ocyganiiony (oszukany); palić z niej — zdrowie.
- Fortuch (fartuszek) piękny, nowy: — zostaniesz obdarzony.
- Fartuch stracić (zgubić): — być uwiedzioną przez niedobrego człowieka.
- Figle robić (wyprawiać): — być wyśmianym.
- Fiołki kwitnące widzieć: — szczęście w miłości; szkubać (zrywać) — dobry ożenek.
- Flaszki widzieć pełne: — być rozeźranym (prowadzić wyuzdane życie).
- Flaszki próżne: — być oszukany; rozłup — szczęście w miłości.
- Folwark widzieć: — wróży na bogactwo.
- Fundamenta kopać: — zysk; znaleźć co we fundamentach: — pewna wygrana procesu.
- Fura z końmi: — wesoła nowina; bez koni: — upadek gospodarstwa.
- Goj (gaik) widzieć: — wykryjesz tajemnice miłosne.
- Gałęzie łomąć (łamać): — szczęście w przyszłości.
- Garbierz (garbarz): — nieszczęście cię nie opuści.
- Garncorz (garncarz): — ciężka choroba.
- Gąsienica: — odkryć fałszywego przyjaciela; gdy siedzi na tobie: — złe dziecko.
- Głód mieć: — dojdiesz do bogactwa.
- Gniazdo widzieć: — zamięłować się; zabrać je z drzewa: — wesele; z ptakami: — wielki zysk; dużo gniazd: — nowe gospodarstwo.
- Gnój widzieć (nawóz): — pieniądze otrzymać.
- Gołąb, chwycić (łapać) go: — zrobisz głupstwo; widzieć na dachu: — usłyszeć miłe nowiny; latające widzieć: — robić znajomości.
- Gołębnik: — radości rodzinne.
- Gorzołkę (wódke) pić: — pocieszające nowiny.
- Góry zalesione: — niewierność; nagie: — przeszkody w drodze; wchodzić na nie: — okropne przeciwności; spaść z nich: — nieszczęście.

- Gospodarstwo wielkie mieć: — przeciwników w procesie; gospodarstwo małe mieć: — niewinna radość.
- Grabie, pracować nimi: — dużo zmartwień.
- Grobla: — zmiana w twym życiu nastąpi.
- Groch jeść: — skryta miłość; widzieć, lub łuszczyć: — powiększenie majątku.
- Grozić komuś: — popełnisz głupstwo.
- Grób kopać lub widzieć kopiących: — śmierć znajomego; zasypyany: — skradzione rzeczy otrzymasz z powrotem; być chowanym do grobu: — wesele w prędkim czasie; wchodzić do grobu: — fałszywi przyjaciele będą cię prześladować; grób otwarty widzieć: — wesoła zabawa.
- Grunť (pole) nieurodzajny i kamienisty: — wielkie kłopoty; uprawiony: — znajdziesz przyjaciół; — bagnisty: nieszczęśliwy ożenek (ożenić się).
- Gryźć: — smutek.
- Grzęda dla kur: — dobrobyt.
- Grzmot słyszeć: — dobre wiadomości.
- Grzyby zbierać lub widzieć: — zysk; stare: — długie życie.
- Gwiazdy błyszczące: — wielkie szczęście; blade: — choroba; spadające: — wróży na śmierć kogoś z bliskich.
- Gwizdać: — przeszkoda w pracy.
- Gwóźdź: — dążyć do honorów.
- Hałas: — dobra wiadomość.
- Hamować: — szczęście w miłości.
- Hamulec: — okropne przeszkody.
- Harmonika: — będziesz robił ucztę.
- Hebel widzieć: — smutek; heblować nim: — starość (zmartwienia).
- Herszt, widzieć go: — honory zażywać; zabić go: — grozi ci niebezpieczeństwo; być hersztem: — poprawa w życiu.
- Honory robić: — odwiedziny; otrzymać: — trwoga.
- Hostia: — radość z życia.
- Hrabina: — honor.
- Husarz (husar): — szczęście w miłości.
- Hymny śpiewać: — znajdziesz wiernego towarzysza.
- Iglę mieć: — prześladowania; otrzymać w podarunku: — nieszczęście w miłości, stracić przyjaciela; nawlekać: — szczęście w nieszczęściu doznawać.
- Imię swoje słyszeć wymawiane: — wesołe wieści.
- Imieniny obchodzić: — znajdziesz nowych przyjaciół.
- Inwalida, widzieć go: — ożenienie z wdową lub wdowcem; być nim: — choroba.
- Izba wiejska: — dobrobyt.
- Iskry latające widzieć: — być kochanym nie wiedząc o tym.
- Jabłko na drzewie wiszące: — bogactwo; rwać: — być prześladowanym; jeść: — zdrowie; kupować lub sprzedawać: — znajdziesz przychylnych ludzi.
- Jagnię znaleźć: — otrzymać pobożną żonę lub męża; jagnięta skakające: — mieć pociechę z dzieci; zabijać: — ubliżyć komuś niewinnie; pasące lub śpiące widzieć: — szczęśliwe ognisko domowe.
- Jagody znajdować: — łatwy zysk.
- Jaja jeść: — szczęśliwe zaręczyny; jaja zepsute mieć: — kłopoty, nieszczęście w małżeństwie i miłości.
- Jałmużnę otrzymać: — oszczerstwo; dawać: — szczęśliwa przyszłość.
- Jałowiec kwitnący: — szczęśliwa miłość bezinteresowna.
- Jarmark: — dożyjesz wesołych chwil.
- Jarzębina: — doznasz (przekonasz się) przyjaciół dobrych, tajnych.
- Jarzyny jeść: — doznasz wiele trudów.
- Jaskinia, widzieć ją: — zmiana w twoim życiu wkrótce nastąpi; wyjść z jaskini: — znajdziesz dobrych doradców.
- Jaskółka: — szczęście w miłości; gniazda jaskółcze: — szczęście rodzinne.

Jasność widzieć: — szczęśliwa przyszłość, bogactwo.

Jastrząb: — nieprzyjaciele nie mogą ci zaszkodzić.

Jaszczurka: — krótkotrwałe szczęście.

Jęczmień: — niestałe szczęście.

Jedwabne suknie: — bogactwo.

Jeleń biegnący: — otrzymać dobrą pracę; widzieć go: — dobry zarobek; dużo jeleni widzieć: — dużo przyjaciół sobie pozyskas; strzelać: — spać.

Jezus Chrystus: — wesoła starość.

Jeź, nosić go: — wyzyskają cię.

Jodła: — dobra nadzieja; drzewo jodłowe kupować: — przyjemna wizyta; szyszki jodłowe: — nadzwyczajne szczęście.

Kamienie widzieć: — troski; łamać w kamieniołomie: — bogactwo.

Kamizelka: — niespodziewany gość.

Kanapa: — spokojna starość.

Kalmus: — będziesz proszony na ucztę.

Kałuża: — dostaniesz się do złego towarzystwa.

Kalekę widzieć: — pomoc od ludzi, od których byś się nie spodziewał.

Kajdany nosić: — honory odbierać; widzieć je: — dużo nieprzyjemności.

Kaftan: — kłótnia.

Kadzidło: — mieć do czynienia z fałszywymi ludźmi.

Kąpiel: — bieda.

Kadź, napełniona wodą: — śmierć; winem: — szczęście.

Kaczki łapać: — twoje zamiary udają się; latające: — strzeż się złych ludzi; pływające: — dostaniesz zaproszenie; dzikie kaczki: — ktoś cię podejdzie.

Kantyczki: — zaszkodziś sobie niedoślestwem.

Kapłan: — długie życie.

Kapitan: — wesołe życie.

Kapelusz nowy: — pierwszeństwo; po-targany, stary: — niedostatek; gdy wiatr porwie: — niewierność.

Kąpiel w rzece: — zdrowie; w pokoju: — niewierność; w sukniach: — choro-ba; kąpiel zanieczyszczać: — wy-rządzić szkodę samemu sobie; wi-dzieć kąpiących się: — smutek.

Kapral: — po smutku dożyjesz dużo ra-dości.

Kapucyn: — zdrada ze strony przyja-ciół.

Kapusta, jeść ją: — zysk; widzieć je-dzących: — smutek.

Karczma: — szczęśliwe czasy.

Kark ozdobiony czymś: — doznasz czci; goły: — będziesz miłosiernym dla biednych; porośnięty włosami: — wielkie szczęście.

Karmić zwierzęta: — szczęście w mał-żeństwie.

Karpia widzieć lub jeść: — prędkie wy-zdrowienie.

Kąsać lub być pokąsanym: — dożyjesz przeciwności.

Kasztan: — trudzisz się na próżno.

Kat: — choroba.

Katechizm: — słuchaj dobrej rady.

Katarynka: — będziesz tańczył.

Kawka, słyszeć krzyzącą: — utrata czci; widzieć: — nieszczęście.

Kazanie słyszeć: — prowadzić złe życie; mówić: — prowadzić życie czyste.

Kichać: — długie życie.

Kielich, pić z niego: — dużo zmartwień; z winem: — szczęście; rozbić: — nie-powodzenie w miłości.

Kiermasz: — niepewny zarobek.

Kij: — zmienisz miejsce zamieszkania.

Kit: — dobry ożenek.

Kiwać na kogo: — życzenia twoje nie spełnią się.

Klacz: — dorobisz się majątku.

Kląć: — popełnisz głupstwo; słyszeć klątwy: — obmowy.

Klasztor: — smutki twoje obróć się w radość.

Klatka próżna: — przykrości; z ptakami: — poznasz dobrych ludzi; złocona klatka: — będziesz miał liczne potomstwo.

Kłękać: — będziesz poddanym.

Kloc: — niedobrzy ludzie zwichną twoje przedsięwzięcie.

Klon: — miłe życie.

Klucz: — szczęście w miłości; nosić: — bogactwo; zgubić: — kłótnia.

Kłopoty: — dożyjesz szczęśliwych dni.

Kłosa widzieć: — spełnienie życzeń; wieniec z kłosów: — zaproszenie.

Kłótnie między krewnymi: — strata pieniędzy; pomiędzy kochankami: — szczęście w małżeństwie.

Kłuć: — popełnisz czyn niegodziwy.

Kmin: — wesoła przyszłość.

Kobiety, widzieć więcej: — obłuda; jedną, piękną: — choroba; naga: — śmierć którego z krewnych; słyszeć mówiące nie widząc ich: — pójdziesz w daleki świat.

Kobra: — dożyjesz szczęśliwych dni.

Kochać: — czekają cię piękne chwile.

Kocia muzyka, robić ją: — zła wróżba; słyszeć ją: — niepowodzenie.

Kogut piejący: — dobra nowina; bijący się: — kłótnie między przyjaciółmi.

Koić: — doczekasz się upragnionego szczęścia.

Kolano: — choroba.

Kolce: — dożyjesz ciężkich chwil.

Kolędy otrzymać: — kłopot w miłości; śpiewać: — radość.

Kołatać drzwiami: — kogoś rozkochać w sobie.

Koło: — spotkasz przyjaciela; dużo kół: — szczęście w miłości.

Kołowrotek obwinięty lnem: — szczęśliwe życie domowe.

Kołtun mieć: — szczęście; obciąć go: — pozbędziesz się kłopotu.

Kołyska: — chrzciny, uroczystość domowa.

Komary, być przez nich ukłutym: — ponosić szkodę przez złych ludzi.

Kometę widzieć: — wojna.

Komin z ogniem: — otrzymać dobrą posadę; bez ognia: — przykrości; jasno płonący ogień na kominku: — otrzymasz wyższe stanowisko.

Kominiarz: — szczęście w miłości.

Komunia: — spełnienie życzeń.

Konanie, samemu konać we śnie: — zdrowie; widzieć konającego: — dobra przepowiednia dla tego, kogo się widzi.

Konewka: — radość.

Koniczyna, siać ją: — życie bez troski; kwitnąca: — miłe poselstwo; łany koniczyny; — wesoła przyszłość; czterolistna koniczyna: — dużo pieniędzy.

Konik polny: — dla zdrowych powodzenie w miłości; dla chorych: — zła wróżba.

Konopie kwitnące: — nieszczęście; związane: — wpadniesz w złe towarzystwo; prząć konopie: — kłopoty rodzinne.

Koń, stawający dęba: — dojdiesz do honoru; w pełnym biegu widzieć: — szczęście; padlinę końską widzieć: — uciążliwa praca; widzieć zdychającego: — nieszczęście; jechać na nim: — spełnienie życzeń; spadać z konia: — wielkie nieprzyjemności; czerwone konie widzieć: — szczęśliwe czasy; czarne: — smutek; białe: — trwała radość; brunatne: — radość; odpręgać konie brunatne: — kłopoty; czarne: — uwolnienie od przykrych osób; białe: — liczne miłości; zsiadać z konia: — różne przeszkody; siodłać: — kłopoty.

Koń drewniany: — będziesz wyszydonym.

Kopalnia węgla: — bogaty ożenek; złota: — odziedziczenie majątku.

Kopyta do butów: — wyzyskują cię.

Korona, nosić ją: — dożyjesz zaszczytów; mirtowa: — wesele; koronowa-

- nie głowy widzieć: — zmienne szczęście.
- Koryto: — obcujesz z niedobrymi ludźmi.
- Korzenie wykopywać: — szczęście.
- Kasa: — nieszczęście.
- Kosić zboże: — troski o rodzinę.
- Kości widzieć: — otrzymasz dużo pracy; gryźć je: — ubóstwo.
- Kościół widzieć: — brzydkie podejrzenia przeciwko tobie zostaną usunięte na zawsze; być tylko w nim: — znajdziesz ukojenie twych cierpień; modlić się w nim: — szczęście; wchodzić doń: — nieprzyjemności; słyszeć śpiew w kościele: — wierz w pomoc Bożą; dzwony kościelne słyszeć: — uroczystość rodzinna w niedługim czasie; kościelny cmentarz: — śmierć; kościelna wieża: — dobre widoki na przyszłość.
- Kudłatym (kosmatym) być: — przyjaciele cię opuszczą.
- Kosz pusty: — strata; zamknięty: — ktoś powierzy ci tajemnicę swoją; z kwiatami: — szczęście w miłości.
- Koszulę widzieć: — nowiny; brudną mieć lub widzieć: — choroba; widzieć praną: — nieszczęście; guziki od koszuli: — znajdziesz pomoc; zgubić: — mieć szczęście w grze.
- Kot biały: — pochlebstwo chce cię oblać; czarny: — złość ludzka chce ci zaszkodzić; dziki kot: — kłótnie ze sąsiadami; młode: — pokusa; być przez nie pokąsanym lub podrapanym: — fałszywi przyjaciele; mieć lub widzieć dużo kotów: — zdrada w miłości; krzyczące słyszeć: — uciążliwe procesy; kocią skórę (futerko): — odnalezienie zguby.
- Kowadło (kuć na nim): — stałe szczęście.
- Kowal, być nim: — śmierć krewnego lub przyjaciela.
- Koza: — bogactwo; pić mleko kozie: — zdrowie; pasterz od kóz: — majątek.
- Krakanie słyszeć: — złe wieści.
- Kraty, stać za nimi: — dłuższa nieobecność.
- Krawiec, widzieć go pracującego: — zapracować sobie na majątek.
- Kret, widzieć go: — szkoda.
- Krew, widzieć z siebie płynącą: — dobra wróżba; z innych: — niebezpieczeństwo; czarna krew: — ciężka choroba; płuć nią: — zgryzoty.
- Krogulec: — ktoś czyha na ciebie.
- Król lub królowa: — bogactwo.
- Kropidło: — przyjemna niespodzianka.
- Kropielnica: — szukać u kogoś poparcia.
- Krowy tłuste: — szczęśliwe lata; chude: — nędza; doić je: zaślubiny.
- Kruk: — nieszczęście.
- Krzak: — szczęście w miłości; gęste widzieć: — znajdziesz obronę; zabłąkać się w nich: — tajemnice twoje zostaną odkryte; suche: — nie daj się namówić do złego.
- Krzesiwo: — znikome szczęście.
- Krzesło piękne mieć: — być wywyższonym; połamane: — zburzenie spokoju rodzinnego.
- Krzyczeć: — postawić na swoim; krzyk słyszeć: — obmowy.
- Krzyż ubrany kwiatami: — szczęście rodzinne; sam: — smutek; nosić do: — troski.
- Książkę czytać: — wysokie honory; płonące widzieć: — strata dobrych przyjaciół.
- Księżyc piękny widzieć: — wiarna miłość; czerwony: — niezgoda; zaćmienie księżyca widzieć: — niewierność; pełnia księżyca: — jasna przyszłość; kwadra księżycowa: — pomimo przeciwności osiągniesz upragnione szczęście.
- Kucharka: — znajdziesz dobrą opiekunkę.
- Kuchnia: — oczernienie.
- Kukać: — pewne odwiedziny.
- Kukułka: — trwałe radości.

Kum: — zmartwienie rodzinne.
 Kuna, widzieć ją: — wystrzegaj się złodziei; zastrzelić: — uwolnić się od kłopotów; złapać ją: — zrobisz dobre interesy z obcymi ludźmi.
 Kupować coś: — uzyskasz w czymś pierwszeństwo.
 Kura na jajkach siedząca: — twoje nadzieje spełnią się; wielką i piękną kurę widzieć: — szczęście w miłości; z kurczętami widzieć: — doczekasz się liczego potomstwa.
 Kurka wodna: — niepowodzenie w miłościach.
 Kuropatwa, widzieć je: — rozliczne pożądania; strzelać: — dobrobyt; jeść: — rozproszenie smutków.
 Kurz: — sprawy rodzinne.
 Kusić kogo: — niewinne zabawy; kuszonym być: — niepotrzebna strata.
 Kwkanie słyszeć: — plotki.
 Kwiaty widzieć lub wąchać: — miłość i rozkosze; białe: — trudności w twoich zamiarach; żółte: — złe skutki twoich przedsięwzięć; czerwone: — dobra nadzieja; zerwane: — zyski; otrzymać w darze: — miłość.
 Kwiczenie słyszeć: — wspierać biednych chorych.

(C. d. n.)

Dwa opowiadania z Górek Wielkich

Opowiadanie Błazczykowej o strzygoniu

W Górkach żył człowiek, co trzy-mał z certym. Urodził się z nożycami na plecach. Był niewielki, a miyndzy palcami na rynkach i nogach miał błane jak myntopyrz. Taki był obrosły, że powstało przysłowiu: kudłaty, jak Strzygoń. Każdy dziyń ło północy chodzo-woł straszyć. Lecioł w lufcie, a od zimy odbiło się takom wysokom żertkom. Kogo z ludzi napotkoł, to go dusił. Ludzie z chałupy wieczór nika nie wychodzili, bo sie go strasznie boli. Nikiedy to Strzygoń zestrzyk dziełchom całę szaty przy muzyce.

Jak umrzył to aji po śmierci chodzo-woł jeszcze straszyć. Seblykoł na grobie koszule i lecioł na dziedzinie.

Ros trzo pacholcy ukradli mu te koszule i uciekli sniom na wieże. Strzygoń ich tam uwidzioł, bo rynkow tej koszule wisiół z łokna. Wyskoczył ku nim. Ale kie już był przy okiynku pizli chłopi sercem ło zwon i Strzygoń spod na ziem. Tak trzi razy ku nim wyskako-woł, ale sie chłopi polynkali, bo już za tym trzecim razym jak skokoł, to sie już chyził za futra łokna i byłoby snimi źle, ale mu te koszule spuścili na dół.

Strzygoń sie łoblyk i wlos do grobu, a grób sie zaś za nim zasął. Na drugi dziyń poszli ludzie do ksiyndza Szebesty i przyszli snim na kierchów. Tu otworzyli grób, dziwają się, Strzygoń leży świeży w grobie, jakby go wczora pochowali. Tóz mu odrombali głowe, a dali mu jom miyndzy nogi. Potym mu odrombali nogi i dali mu ich kole kar-ku.

Od tego czasu Strzygoń przestoł straszyć w Górkach. A tej dziury przy łoknie na wieży nie szło długi roki zamurować. Jo nie wiym, ale mi sie to zdo, że tam je jeszcze znak po tej dziurze.

Opowiadanie Sławickowej o morze

Mora to je tako baba. Mo sine wargi i dwa długi zymby na przodku. Zadowo ludziom ciynżki sny. To tak dusi człowieka, jakby miał młyński kamiyn na piersiach. Na drugi dziyń mo człowiek taki modry flek w tym miejscu, kaj go mora cyckała. Mora sie jusz urodzi ze zymbami. Jak mora przydzie w nocy człowieka cyckać i dusić, to ji jyny trzeba chleba z masłem łobiecać. To na rano przydzie ta mora do izby sama, choć ji żoden nie wołół. To sie potem wie kiero baba to jes. Mora zmiynio sie czasym w biołom mysz, a czasym zaś taki długi dźbło smyczy sie przez łokno,

albo przez dwiyrze do izby. Wtedy trzeja to dźbło przecionć nożycami i baba zostanie leżeć mortwo w chałupie. Jak cie bydzie mora dusić, to ji jyny synku ściepej pierzyny na ziem, to ji popsujesz całom robote.

Ros w karczmie u Prochaski w Górkach siedzieli ludzie i pili. Już tesz było cosi kole północy. A tu ci naroz taki długi dźbło smyczy sie od dwiyrzy. Jak to pokropili śwyncónóm wodom, to sie to kańsi straciło. Już to potym wyncyj nie przyszło. Ros jeden synek chodził z morom. Jak jom odkludzoł z muzyki, to jom naroz wziyno spani, bo ta jejo godzina przyszła. Łona se poszła legnąć pod wiyrzbe. Łon poszeł za niom, budzi jom, a łona leży jak bez ducha. Naroz ji wyleciała tako bioło mysz z gymby, a za chwile zaś skonsi przileciała i wlażła do ni. Dziełcha się obudziła, ale nic nie wiedziała co sie kany sniom robiło. Synek poznoł, że to je mora, i już ji też wyncyj a wyncyj nie łobezdrzoł.

Jan Sławiczek

Godka o syryńskim świetliku

*Podanie ludowe z okolic Syryni (pow.
Rybnik)*

Około sto lot tymu, u Jenczmionki, zamożnego gospodorza w Syryni, służył przy koniach paróbek. Na imie mu było Wojtek. Synek to był dobry, posłuszny, robił za trzech, wypił tyż za trzech, dziołuchy po wszystkich wesełach wytóńcowywoł, a kiej trza było, to i po gambie cudzy przejechać sie umioł. Jednym słowym, chłopok to był — jak to padajom — do tańca i do różońca, wielgi, sielny i piękny na schwoł. Pszoły mu tyż wszystkie dziołuchy ze wsi, za honor wielgi se miały, eli z kierom śnich zatańcowoł lub miłe słówko pedzioł abo z odpustu sznur czerwionych koralu przynioł.

Była już jesiyń. Na dworze dyszcz loł coraz czyńści, liście z drzew opodały

na dróga, chłód broł sie coraz wianszsy. Roz zawołoł Wojtka gospodorz i tak mu pedzioł:

— Pojedziesz jutro do Raciborza, Wojtuś. Ino pamiyntoj se, cobyś mi rychło wyjechał, bo mocka sprawonków bydziesz mioł do załatwiynio. Pódź sam, to ci powiyłm wszystko.

Wojtek wstoł i wyszli oba na podwórze. Tu długo stary Jenczmionka prawiył, co mo załatwiać, jak mo załatwiać i kiej wrócić. Godali ze sobom długo, potem oba pošli jeszcze podziwać sie na kónie, posprowdzać, eli wszystko jest gotowe, a potym udali sie na spoczynek, bo późno już była pora.

Nazajutrz rano Wojtek zaprzongnył kónie i pojechał. Pogoda nie była zbyt dobro, bo dyszcz loł od samygo świtu, zimno przejmowało do kości i chmury czorne, a cycznkie jak ołów, przewolały sie po niebie.

Wojtek, pogwizdujone se cicho, popyndzoł swoje kónie, bo aż w głowie mu sie krynciyło, co tela tego mioł dzisiej do załatwianio. A to żarna nowe kupić na targu, a to do garborza wstompic po skórka z barana i dwóch owiec, kiere w zesłym tygodniu gospodorz u garborza łostawili, bo zima już nadchodzi i o kozochu trza było pomysleć. To zaś gospodyni beczka na kapusta kupić kozali, bo staro sie już rozłaziyla, do młyna w Brzeziu wstompic i zapyteć sie, kiej to zboże bydzie zemlete. Aże strach, tele tego wszystkigo! No, a Helynce to zapómni? Nic ji z Raciborza nie przywiedzie? A Maryjka to gorszo od nij, kiej dycki tak piyknie na niego spoglondo i tak go długo już prosi o korale. A Jadwisia, ta miło dziołuszka? Tyż ji trza bydzie jakie serce z piernika przywiyść!

Ale ino jednom pore nóg mioł Wojtek i nie doł rady pozałatwiać wszystkich tych sprawonków. Wieczór już nadchodził, a tu jeszcze to, jeszcze

tamto, a i czas już wyjeżdżać w drogą powrotno.

Lampy już w domach w Raciborzu świeciły, kiej po załatwieniu ostatni sprawy Wojtek siadł na wóz i ruszył z miejsca. Śpieszno mu było, bo to jeszcze kawoł drogi przed niym było, to tyż poganiół kónie jak mógł, cmokoł wargami i śmigoł batym, bele jak najpryndzy być w dóna. Noc zapowiadała się ciymno i dyszcz ani na chwile nie przestawoł padać, tak że co konsekwencje drogi kónskie kopyta głośno rozchlastowały kałuże.

Myślał se prawie o wójtowy Jadwisi, kiero z tych styrech najgłamb i serce jego zapadła, kiej kónie, biegnonce kłusym, mijały Lubómje. A ze dyszcz zaczął łoć coraz to wienkszy, wyne Wojtek skryncił na bliższe drogi, bez „strómkowo cesta”. Nieroz już tak robił, jak z lekkim wozem jechoł.

Cma była straszno wokoło, tak że siedzone tuż za kóniami, ogónów jeich wcale nimógł uwidzieć. Droga, poczontkowo dobro, stawała się coraz gorszo w miarę, jak coraz bardzi oddoloł się od domów lubómskich. Koła wrzynały się głamboko w rozmokło glina i błoto. Kónie, chociaż sielne, sapały ciynżko, szły coraz wolni, coraz czyńsci stawały, aż w jednym miejscu stanęły zupełnie i mimo bicio i cmokanie, ani rusz, nie chciały dali jechać.

Wojtek szłoł z wozu i odrazu zapodł się po kolana w błoto. Zaklon siarczyście i zabroł się do oglondania wozu. Chcioł kóniecznie zbadać przyczyna, dloczego kónie nie chciały deli jechać, ale cóż z tego, kiej wokoło było tak ciymno, że nic uwidzieć nimógł, a na domiar złygo, nimioł ze sobom żodnygo światła. Zaczon wyne ryncami obmacować koła u wozu i przy zadnich kołach stwierdził, iż zapadły się prawie po sama oś w błocie. O tym, żeby to kónie potrefiły wyciongnąć, mowy być

niemogło. Nojpiyrwy trza było pod koła podłożyć kamienie i dopiyo w tyn sposób wydobyć je z błota, ale jak tu to wszystko zrobić, jak szukać kamini, kiej wokoło panujom nie przeniknione ciymności. Stoł wyne bydny Wojtek beradny, moknonc na wielgiym dyszczu, kiery nic a nic nie ustawoł, ino na siyle coraz bardzi przybyroł.

— Pón Bóczku święnty, żeby mi tak teroski chto poświycił — pedzioł Wojtek do siebie. — Odwdziynczył bych mu się sowicie za tako przysługa i zapłaćbych to, co mom przy sobie.

Zaroski, skoro ino to życzenie wypedzioł, zjawiło się przed niym jakiesi dziwne, tajemnicze światelko. Nie było przy niym żodnygo człowieka, ino samo świeciło, jakby w powietrzu było zawieszone. A blask od tego światelka był taki wielgi, że cołko droga, wóz i konie doskonale były widoczne.

Zdziwił się Wojtek wielce, a trochę i przestraszył, ale zaroski przypomniał se swe ciynżkie położenie i zaczął korzystać z usług nieznanego światelka. Zaroski tyż znalazł potrzebne kamienie na dródze, popodkłodoł je pod koła, zawołał na kónie, śmignął batym, i wóz, mocno szarpnyty, potoczył się deli. Wojtek podziynkowawszy światelku za przysługa, wsiodł na wóz, ale światelko nie zniknęło, ino poszło przed kónie i prowadzić je zaczęło po mni mni błotnistych i równiejszych miejscach na dródze. Reszta drogi slectiała teroski pryndko i niebawym znalazł się Wojtek w domu. Wyprzągnął kónie od wozu, zaprowadził je do stajni, doł jym jeść, a światelko dycki przy niym stoi i towarzyszy mu we wszystkich jego procach. Poszeł Wojtek po woda do studni, bo kónie były spragnione, światelko za niym. Poszeł Wojtek do stodoły po siano, dać kóniom do przegryzki na noc, światelko za niym. Spoczotku śmich go szczyry łozbiroł na

tako kómedyjo, bo som nie wiedzioł skond sie to wzieno, ale teroski złość go już zaczyna ogarnówać, bo już za wiela tego było. W żodyn sposób nie potrefiyl sie odczepić od natrynta. Żałować już zaczon swoich słów, kiere na dródze był wypedioł, ale stało sie. Już nic na to nimożno było poradzić. Bo przeca gdyby ta przysługa był mu okozoł jaki człowiek, to już przyndzy dołby se śniym rade. Rozmówiyl by sie śniym, zapłaciłby mu, ale z takiym dziwolągim? Wiadómo to jak go sie pozbyć? Jak do niego przemówić? Już i mówić do światełka zaczon i prosić, ale nic nie pómogło. Do dóm Wojtek nie chcioł iść, aż mu to djoseckie światełko nie zniknie, bo boł sie, żeby go gospodorz o jako zmowa ze złym duchym nie posondzoł.

Siado wiync biydney Wojtek na dworze i siedzi. Dyszcz leje, zimno niym trzynsie i przeijmuje do żywego, a tu zagroć sie nima kaj, bo wszystko już śpi, wszystko pozamykane, a przeijnte światełko jak stoi, tak stoi i ani rusz, nie chce zniknąć. Ozwiyro sie Wojtkowi gamba, ziywo mu sie roz i drugi, oczy zawiyrarjom sie od zmynczynio i snu, ale do dóm nie chce iść i czeko ciyrpliwie co to z tego bydzie.

Siedzioł tak możno z godzina, a możno i wiancy, troche drzymoł, troche lezoł, to zaś przechodziyl sie coś mało wiela, bo go zima trzynść zaczynała, aż wreszcie zmierzło mu sie już to czekanie i postanowił iść do dóm. Wszystko jedno, co bedzie to bedzie, ale czekoł już dłuży nie bydzie.

Otwiyro Wojtek siyń i wchodzi, a światełko za niym. Ale dość już tego mioł. Już i jego ciyrpliwóść sie wyczerpała, wiync z ty zgryzoty jak nie odwinie swoi prawicy, jak nie piźnie w to nieznośne światełko, aże w powietrzu coś mlasło.

W ty chwile włosy Wojtkowi stować zaczynły na głowie, bo mu sie zdało, że nie w jakieś tam światełko piznył rynkóm, ale że w gambe kómuś doł. Czuoł to przeca wyraźnie na rynce. Przestraszył sie jeszcze tym bardzi, iże światełko w ty samy chwile znikło, a w tym miejscu, kaj óno było, odezwół sie dziwny jakiś głos:

— O dobry człowieku! Pón Bóg ci zapłać za ta wielgo przysługa, kierom teroskiś mi wyświadczył! Przez sto lot już tułom sie po tym świecie i pokutuje za swoje wielgi grzech, a żoden mi wybawinno nie chcioł dać, dopiyro ty otwarłeś mi brama do nieba! Jam jest dusza pokutujonco za to, iże kiedyś, byndonc takiym jak ty młodzieńcym, ojca swoigo w gambe uderzyłem.

O zdarzyniu tym Wojtek pedzioł swojym gospodarzom, a od jego gospodorzy przeszło na cołko wieś i na cołko okolica. Dziś, choć tela lot już od tych czasów upłyniło i choć z tych ludzi żodyn już nie żyje, to jednak gdy tylko praca w polu sie skóńczy, a przyńdom długie zimowe wieczory, godka o świetliku jest jednym z nojulubińszych opowiadań starek i starzyków.

Florian Śpiewak

Pragliwiec

Bajka z Rybnickiego

Bół roz chłop, co nic niy mioł, taki szpiterlok. Do niego przyszoł jeszcze po fechcie żebro. „A dyc, kochany żebroku, jo som nic niy mom. Ani fynikym niy śmierdza!” — pedzioł żebroкови. Na to prawi żebro: „Jo wom dom dobro rada. Idźcie chmoterku w nocy do lasa, ino sie niy śmiycie boć. A z lasa przydziecie nazod bogoczym!” „A czamu wy niy idziecie, rajco przeijnty?” „Kej jo sie bardzo boja. Dzić mie by tam serce ze strachu do galot uciyko!”

Jak sie zrobiło cima, wzion nasz chłop rubo kryja, zakurzół fajfka i poszoł do lasu. W lesie zrobióło sie chnetka blank cima, ani swojigo nosa niy widzioł, ale tompie i tompie dali. Woroz ujrzoł kansik daleko światło. Jak to bóło dobrze, bo go już strach zbiyroł.

I prziszło przed tako mało chałupka. Na płocie przy furtce siedziały dwa srogośne kociska czorne i szpetnie mronczały. Słypie świyicyły jim sie kejby wąglicki.

Woroz łotwarły sie dwiyrze i wylazła ś nich czarownica, bo słyszała mronczy nie kotów. „Poco sie ty chacharze tak nieskoro pieresz do moji chałupy? Ani spać niy moga, dziepiyro coh sie zdrzymnyła.” „Łotwiyrej, staro, i niy fandzoł tak dużo, bo mie zima trzasko. Mom si łosmiatać tom kryjom?”

Czarownica drapko poleciała do chałupy, i dziepierz teroz widzioł chłop, co to za szkaradny gizard. Pukel na plecach, włosy siwe, szczybiato, nochoł krziwy jak kosok, a na gymbie jyno kości i skóra posmoszczano. Dioboł by sie tego wystraszył, a cóż człowiek. Przeżegnoł sie, jak niy widziała, i poszoł za niom do izby. Już na progu ji pedzioł, poco przyszło. „Acha, pijędzy wom sie zachcuwo? Wierza, wierza! No to zrobimy tak. Widzicie tam tyn wielki strom w lesie?” „Widza, widza!” „No to weźcie se tyn powróz i idźcie tam. W tym stromie jes w pojszczodku dziura łod wiyrchu aż na dół. Wypnijcie sie na wiyrch, uwiążcie powróz u gałęzie i spuście sie na dół. Potym już bydziecie widzieli co dali!” Chłop poszoł i zrobił, jak mu czarownica pedziała.

Spuszczół sie już dość długo. Dziwo sie, som jakeś dwiyrze. Łotworzół pomalutku, a tu ci fuk na niego psisko

i ściało go użrać. Ale nasz chłopek łapsnół go za krztoń, podowiół i wciep nazod do izby. Potym dwiyrze zatrzas i spuszczół sie dali.

Zaś izba. Łotwiyroł terazki już blank pomału. A tu ci wyskoczół wilk srogośny, wyszczyrzół na niego zymbaska i woniół go. Ale nasz chłop sie długo ś niym niy ciałkoł. Chyciół za uszyaska i łogon, świtnół szłapom, wciep do izby i zamknół jom.

Spuszczół sie jeszcze kaszczek i prziszło przed trzecie dwiyrze. Nojprzód zaglądoł bez dziurka łod klucza. Nic niy widzioł i wloz. Jak sie niy wystraszół. Wrzasknół na całe garło. Chnetka by sie wyszkopyrtnół. Na zieleźnym stołku siedzioł dioboł, a przed niym skrzynie ze złotym i pijądami.

Dioboł sie łosmiół i pedzioł: „Pódź sam. Ty mi sie podobosz. Skiz tego, iż sie niy boisz, dom ci połny miech piniędzy, ale trocha musisz dać czarownice, co cie tu posłała. A terazki sie spuszczej na dół. Tam som druge dwiyrze, co sie łotwiyrajom łod pojszczodka.”

Na nic niy łoglondoł sie, na żodno czarownica, na żodnego diobła, ino pruć do chałupy, aż sie za niym kurzóło. Rano prziszło dodom. Dziecka jeszcze spały, jyno staro czekała na niego całko noc. Myślała, iż poszoł do karczmy ślepać.

„Staro, raduj sie sy mnom. Terazki momy wszystko, co duszyczka raczy. Obejrzi se, cołki miech pijędzy!”

Łotwiyro, a tu psinco, som wągel. Farona, ale tyż to kłon siarczyście.

„Widzisz ty chamoku — pedziała staro — czamuś niy doł czarownicy. Teraz mosz psinieć. Dobrze ci tak!”

Joachim Wawrzynek

Recenzje i sprawozdania

Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, IV, Katowice 1934, Nakładem Twa (Druk. K. Miarka Sp. Wyd. z ogr. por. w Mikołowie) 8^o, str. 348, tablic 23. — Toż, V, Katowice 1936, Nakładem Twa, Drukarnia „Dziedzictwa” w Cieszynie, 8^o, s. 404, tablic 8, mapa. — Toż, VI, Katowice 1938, Nakładem Twa (Drukarnia „Dziedzictwa” w Cieszynie) 8^o, s. 522, tablic 17.

W śląskim T. P. N.

Każdy mi to przyzna,

Panuje niepodzielnie

Tak zwana szramkowszczyzna.

Nie wiadomo z jaką intencją umieścił „Powstaniec” (1938, 52) przytoczoną wyżej fraszkę Sowizdrzała (bo tak się autor podpisał), ale zdaje się, że intencyj złych nie miał, a nawet w swoisty sposób wyraził uznanie dla głównego redaktora „Roczników” i długoletniego prezesa Twa Przyjaciół Nauk na Śląsku, ks. dra Emila Szramka. Przeglądając ostatnie trzy tomy „Roczników”, musimy i my wyrazić uznanie ks. Szramkowi za jego pracę i starania około tego reprezentacyjnego organu nauki śląskiej¹⁾.

Tom czwarty (1934) obejmuje zasadniczo lata 1932—33, tom piąty (1936) lata 1934—35, zaś tom szósty (1938) lata 1936—37, z czego wynika, iż właści-

wie „Roczniki” te są „dwurocznikami”. Przyczyna tej „dwuroczności” tkwi zapewne w tym, iż redakcja nie zawsze może na czas zebrać od poszczególnych autorów ich prace, szczególniejsze zaś trudności napotyka przy układaniu działu rozbiorów i sprawozdań oraz kroniki kulturalnej.

Jeśli chodzi o treść wymienionych tomów, to możemy ją podzielić w najgrubszym zarysie na następujące działy: rozprawy, wspomnienia pośmiertne, rozbiory i sprawozdania oraz sprawozdania Twa za dane lata. Jeśli o dziedzinę nauki idzie, to w dziale rozpraw pierwsze miejsce zajmie historia, drugie historia sztuki, poczem etnografia, socjologia, życie religijne itd. Wszystkie rozprawy zacieśniają się dokoła spraw śląskich.

Tom IV otwiera krótka, lecz treściwa praca docenta U. J. dra Kazimierza Piwarskiego pt. „Jan III Sobieski na Śląsku w r. 1683”, w której autor opisuje przejazd Jana III Sobieskiego i jego wojsk przez Śląsk, na słynną w dziejach odsiecz Wiednia. Chociaż praca ta nie jest może wyczerpująca, ważna i cenna jest jednak dlatego, ponieważ podaje mnóstwo różnorodnych źródeł, odnoszących się do pobytu Jana Sobieskiego na Śląsku. Następną pracą jest „Śląsk jako problem socjologiczny” ks. E. Szramka. Autor, z dużą znajomością sprawy przeszedłszy się pokrótce po historii Śląska, usiłuje nakreślić właści-

¹⁾ O „Rocznikach” I—III wspominało „Zaranie” już dawniej: I) ZŚ VI, 30; II) ZŚ VII, 123—127; III) ZŚ VIII, 185—187.

wy typ Ślązaka-Polaka, Ślązaka-patrioty i wytyczyć drogę i misję, jaką ma Śląsk do spełnienia. Trzeba przyznać, iż praca nie pozostała bez wyników, zresztą odbiła się głośnym echem na Śląsku, wywołując polemikę. Dyskusji podjął się m. in. dr A. D. na łamach „Polski Zachodniej”, ale efektu właściwego nie osiągnął, ponieważ oparł się na przesłankach innych, aniżeli ks. dr Szramek, rodowity Górnoślązak. Następną pracą jest rozprawa dra Tadeusza Dobrowolskiego na temat „Gotyckiej polichromii kościoła w Jesionej”, wsi na Śląsku Opolskim; autor wyprzedziwszy pod tym względem uczonych niemieckich, w sposób barwny i fachowy przedstawił czytelnikom polichromię pięknego kościoła parafialnego w Jesionej na tle problemu malarstwa ściennego na Śląsku. Rozprawa, ozdobiona licznymi rycinami i reprodukcjami, stanowi jeden z dalszych pomników literatury polskiej o sztuce śląskiej z tej i tamtej strony granicy. Następną rozprawą dyr. Franciszka Popiołka pt. „Szpitale cieszyńskie”, oparta została na materiałach archiwalnych, sprawozdaniach rocznych dyrekcji szpitala śląskiego w Cieszynie oraz na opracowaniach niemieckich. W tej pierwszej polskiej monografii szpitali cieszyńskich opisuje autor szpital mieszczkański, szpital Braci Miłosierdzia, szpital SS. Elżbietanek, szpital wojskowy i Śląski Szpital Krajowy. Tekst ozdobiono paroma ilustracjami, a całość opatrzono licznymi wskazówkami bibliograficznymi, cennymi dla historii miasta Cieszyna, a nawet całego Śląska. Po kolei nieco miejsca zajmuje w tym tomie Instytut Śląski, którego dyrekcja w zarysie przedstawiła organizację tej instytucji, jej zadania i program prac oraz stosunek do innych organizacji naukowych. Rozprawę dra K. Piwarskiego, wymienioną już powyżej,

uzupełnia w pewnym stopniu prof. Jan Wypler, ogłaszający „Sobieszciana ze Śląska”, które stanowią drobny fragment opisu stosunków rodzinnych na Śląsku. Do historii publicystyki śląskiej niemałe znaczenie posiada zwięzłe i wyczerpujące zestawienie „Powojennej prasy polskiej na Śląsku Cieszyńskim”, które opracowali Ludwik Brożek oraz ks. Oskar Michejda (nieistniejącą już dziś „stronę czeską”!). Brożek naliczył 80 pozycji czasopiśmiennych, zaś Michejda 41 (łącznie z periodykami w rodzaju kalendarzy). Niewielkie znaczenie (z punktu widzenia dzisiejszych stosunków i wyników) ma „Sprawozdanie z naukowych prac przyrodniczych prowadzonych na Śląsku w ciągu lat ostatnich”. Autorka tego sprawozdania, dr Aniela Kozłowska, nie miała racji o tyle, iż z wielkiego krzyku pozostało niewiele, a olbrzymią resztę prac wykonali i wykonywują inni ludzie, nie lubiący reklamy. W dziale wspomnień pośmiertnych Aleksander Szczepański pisze o śp. inż. Józefie Kiedroniu, a ks. dr E. Szramek osobne wspomnienia poświęca śp. ks. Wiktorowi Lossowi, prof. dr. Alfonsowi Parczewskiemu i ks. Franciszkowi Zieglerowi. W dziale rozbiórów i sprawozdań omówiono 23 wydawnictw poświęconych Śląskowi, lub też wydanych na Śląsku, przy czym uwzględniono także publikacje niepolskie. W dziale „umysłowego życia Śląska” znajdują się sprawozdania Muzeum Śląskiego w Katowicach, Muzeum Miejskiego w Cieszynie, różnych archiwów i bibliotek oraz sprawozdania licznych organizacji i instytucji kulturalno-naukowych na Śląsku. Ostatnią rubrykę zajmują sprawozdania TPN na Śląsku za dwa lata; bilans po stronie dochodów i rozchodów za rok 1932 wynosił 62.002,76 zł, zaś za rok 1933 — 69.001,35 złotych.

Tom V nieco okazalszy od poprzedniego, otwiera obszerna i wyczerpująca praca ks. dra Emila Szramka pt. „Ks. Aleksander Skowroński, Obraz życia i pracy na tle problematyki kresów zachodnich”. W pracy powyższej (obejmującej 214 stron razem z załącznikami!) przedstawia sumienny autor zmaganie się ludu śląskiego z zaborcą niemieckim, przy czym główną postacią jest zmarły w r. 1934 ks. Aleksander Skowroński, proboszcz mikołowski. Praca ta, wyczerpująca bez reszty temat, jest o tyle jeszcze miłą, że przedstawia nam ostatnie lata i działalność ulubionej postaci autora już w wolnej i niepodległej Polsce. Rozprawa Zofii Birkenmajerowej pt. „Rodowód średniowiecznych Gryfitów śląskich”, jest właściwie streszczeniem rozdziału niedrukowanej pracy tej autorki pt. „Genealogia Gryfitów polskich XII i XIII stulecia”. Obszerna zaś rozprawa Stefani Kalfas-Piotrowskiej pt. „Stosunki handlowe śląsko-polskie za Kazimierza Wielkiego” stanowi dla siebie osobny rozdział w naszej historii gospodarczej, zwłaszcza wieków średnich. Praca ta, oparta na licznych źródłach i literaturze drukowanej, w niemałym stopniu rozwija zaniedbaną i trudno uchwytną historię gospodarczą Śląska; czyta się ją też z wielkim zainteresowaniem. Wręcz sensacyjną jest rozprawa inspektora policji wojew. Józefa Żółtaszka pt. „Dzikie kopalnictwo węgla na Górnym Śląsku”. Bohaterami tej rozprawy są bezrobotni Górnoślązacy, daremnie ubiegający się o pracę i chleb. Przez rozbudowę dzikiego kopalnictwa sami o pracę i chleb się wystarali. Niedługo jednak było im dane być posiadaczami tych skarbów, ukrytych w głębi ziemi, gdyż z różnych względów władze bezpieczeństwa były zmuszone zlikwidować to kopalnictwo, które przecież było nawrotem do kopalnictwa wieków XIV, XV i XVI, a więc

do okresu „wolności górniczej”. Wszystko to jasno autor przedstawia i uzupełnia danymi statystycznymi i licznymi fotografiami, przez co praca zyskała na wartości i stanowi ciekawy rozdział, ilustrujący współczesne warunki społeczne, gospodarcze i prawne. Osobny, nowy rozdział stanowią dokładne sprawozdania z wieczorów dyskusyjnych TPN na Śląsku za rok 1935-36 (czyli rok pierwszy wieczorów dyskusyjnych). W wspomnieniach pośmiertnych znajdujemy krótką biografię śp. dr. Bogusława Parczewskiego, której autorem jest Stanisław Kobylński. Obszerny za to jest dział rozbiorów i sprawozdań, który w tym tomie obejmuje już 32 pozycje, przy czym dość bogaty jest dział, poświęcony sztuce śląskiej, zredagowany przez dra Tadeusza Dobrowolskiego. Dział sprawozdań, podobnie jak zresztą w poprzednich tomach, obejmuje wydawnictwa z różnych dziedzin nauki, poświęcone Śląskowi, a to zarówno prace polskie jak i obce. Warto tu także zwrócić uwagę na notatkę o „Konkursie na życiorys Ślązaka”, w której w streszczeniu podano sprawozdanie z konkursu na życiorys Ślązaka, rozpisanego przez Polski Instytut Socjologiczny w Poznaniu. Pierwszą nagrodę na tym konkursie w kwocie 200 zł otrzymał Władysław Kucharczyk z Wodzisławia. Jak zwykle, na końcu tomu umieszczone zostało sprawozdanie z działalności TPN na Śląsku za lata 1934—1935, przy czym dla orientacji warto podać, że bilans po stronie dochodów i rozchodów wynosił za rok 1934 — 62.675,91 zł, zaś za rok 1935 — 69.652,65 złotych.

Ostatni z dotychczas wydanych tomów, tom VI, pod względem treści i innych materiałów stanowi naprawdę piękny pomnik nauki polskiej o Śląsku i na Śląsku. Otwiera ten tom przepiękna praca Wincentego Ogrodzińskiego o Ojcu Euzebiuszu Franciszku Statecz-

nym, przedstawicielu „Młodej Polski” w prozie górnośląskiej (str. 7—202). O pracy tej w „Zaraniu” już pisano (1938, z. 5, str. 312—318), toteż wymienimy ją, możemy iść dalej... Następną pracę pt. „Obraz Matki Boskiej Piekarskiej w Opolu na tle gotyckich wizerunków podobnego typu” napisali dr T. Dobrowolski (część pierwsza, omawiająca Obraz ze stanowiska historyka sztuki) i ks. dr Emil Szramek (rys historyczny Obrazu). Osiem doskonałych reprodukcji obrazów podobnego typu (m. in. z Koźła, z Bytomia i Małych Kończyc) przyczynią się do lepszego zrozumienia tej pracy. Z kolei Marian Gumowski zajmuje się od strony numizmatyki „Trzema Bolesławami XII wieku” (Bolesław Kędzierzawy, książę krakowski; Bolesław Wysoki, książę śląski; Bolesław Mieszkowic, książę kujawski). Oddzieliwszy z powodzeniem monety, bite przez tych trzech Bolesławów, zdołał na podstawie wykopalisk oraz dokumentów ustalić, od którego Bolesława pochodzą dane monety. Zofia Birkenmajerowa zajmuje się ponownie rodem Gryfitów w rozprawie pt. „Śląskie sprawy Gryfitów płockich XIII stulecia”, w której przedstawia związek, istniejący ongiś między potomkami rodu Gryfitów w ziemi płockiej a śląskiej. Praca ta dobitnie wykazuje, że ziemia śląska od zarania dziejów była jak najściślej złączona licznymi węzłami rodzinnymi z innymi ziemiami Polski, często nawet bardzo odległymi. Następną pracą, mogącą wchodzić w zakres heraldyki, choć sprawy społeczne są w niej niemniej ważne, jest praca prof. Jana Wyplera pt. „Stosunki prawno-mażeńskie szlachty pszczyńskiej od XII do XVIII wieku”, w której autor, opierając się na materiałach archiwalnych, przedstawia ród Wyplerów, osiadłych w ziemi pszczyńskiej. Praca Wyplera jest ważnym przyczynkiem do poznania przeszłości

prawno-obyczajowej Śląska. Swego rodzaju nowością jest krótka rozprawa Longina Malickiego pt. „Oświecenie u górali śląskich”. Autor opierając się przeważnie na okazach zgromadzonych w Muzeum Śląskim oraz na okazach, spotykanych w Beskidach, przedstawił różnego rodzaju oświecenia u górali śląskich, a więc świece łojowe i woskowe, lampy i lampki, szczapy itd. Po rozprawach, podobnie jak w tomach poprzednich, idą inne działy: sprawozdania z drugiego roku (1936—37) wieczorów dyskusyjnych, wspomnienia pośmiertne (Konstanty Wolny o śp. Stanisławie Kobylńskim; Henryk Hulok o śp. Antonim Sieroniu z Rudy), nadzwyczaj obszerny dział rozbiorów i sprawozdań, obejmujący 67 pozycji (w tym 21 sprawozdań pióra ks. E. Szramka), wreszcie dział „Z umysłowego życia Śląska”. W tym ostatnim umieszczono sprawozdania z działalności Muzeum Śląskiego, Oddziału Sztuki przy Urzędzie Wojewódzkim Śląskim, Śląskiej Biblioteki Publicznej, Archiwum Akt Dawnych Urzędu Woj. Śląskiego, Śląskiego Biura Statystycznego, Twa Ludoznawczego w Cieszynie, Śląskiej Pomocy Naukowej, Instytutu Fonetycznego w Katowicach, Instytutu Muzycznego Stef. M. Stoińskiego oraz szeregu innych instytucji i towarzystw naukowych na Śląsku. Pożytecznym wznowieniem jest dział pt. „Wystawy na Śląsku”, skrzętnie opracowany przez Ludwika Brożka. Jak zwykle, tom kończy się sprawozdaniem Towarzystwa, z którego warto przytoczyć stan bilansu z końcem roku 1936. Wynosił on w dochodach i rozchodach 57.211,19 zł.

„Roczniki Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku”, jak wynika z niniejszego przeglądu, są coraz lepsze, obszerniejsze i okazalsze. Życzymy sobie, by poszczególne tomy wychodziły

w przyszłości nie w odstępie dwóch lat, lecz corocznie, jak na „Rocznik” przystało...

Mgr Franciszek Szymiczek

Pieśni ludowe z Polskiego Śląska, Wydali i komentarzem zaopatrzyli Józef Ligęza i Stefan Marian Stoiński, Tom II, Pieśni balladowe o zalotach i miłości, Kraków 1938, Polska Akademia Umiejętności — Wydawnictwa Śląskie (Drukarnia Uniw. Jagiell.) 8^o, str. XXIII + 800.

Tom pierwszy wymienionego powyżej wydawnictwa ukazał się w dwóch zeszytach: 1) Pieśni balladowe, Kraków 1932, str. 98; 2) Pieśni o zalotach i miłości, Kraków 1933, str. 99—441. Redaktor tego tomu, prof. Jan St. Bystron, przeniósłszy się do Warszawy, dał pieśniom śląskim spokój. Tom drugi, wydany po kilkuletniej przerwie, opracowali zatem nowi redaktorowie, z których głównie St. M. Stoiński wziął się energicznie do dzieła i pomnożył znacznie już i tak bogate zbiory śląskich pieśni ludowych. Materiały, zebrane w „archiwum pieśni” przez ks. E. Szramka, wzbogaciły się o kilka tysięcy ciekawych przykładów z całego etnograficznie polskiego Śląska.

„Udało się pozyskać — czytamy w przedmowie — przede wszystkim dwa wielkie zbiory: starszy Feliksa Musialika, który już dawniej przed r. 1912 zebrał wspólnie z Łukaszem Wallisem około 1300 pieśni, po roku zaś 1920 zebrał samodzielnie przeszło 700 pozycji, — oraz nowszy Jana Taciny z Ustronia, sumiennego i fachowo doskonale przygotowanego zbieracza pieśni na obszarze Śląska Cieszyńskiego... Na specjalne wyróżnienie zasługują ciekawe i sumiennie opracowane zbiory Leona Kauczora ze Śląska Opolskiego (przeszło 200 pieśni) oraz Izy Mendel-Kory-

towskiej z Siemianowic, która zanotowała przeszło 200 pieśni na Śląsku polskim. Zbiorów ponad 100 pieśni liczących dostarczyli: Doffek Henryk (Bukowiec), Kiszka Wiktor (Cieszyn), Nowowiejski Feliks (Istebna), Prus Alojzy (Kończyce Wielkie), Pustówka Paweł (Goleszów) i Szczudło Kurt (Cen-tawa).”

To mnóstwo nowych materiałów spowodowało, iż tom drugi wydawnictwa tematycznie jest dalszym ciągiem tomu pierwszego, to znaczy znów znajdujemy w nim pieśni balladowe i pieśni o zalotach i miłości. Tom trzeci — jak się dowiadujemy — obejmować będzie wyłącznie tańce... Dwa wydane dotychczas tomy zawierają razem 1203 numerów, zawierających 2462 tekstów z wariantami i 1886 melodii z wariantami.

Redaktorzy dzieła, a przede wszystkim redaktor jego części muzycznej, wywiązali się ze swojego zadania wzorowo. Pieśni są tematycznie dobrze rozklasyfikowane i zaopatrzone w drobne nawet warianty. Wszędzie podano daty, opisy pieśni, nazwiska śpiewających i zbierających je osób, objaśnienia rzadszych wyrazów gwarowych, oraz niezbędne komentarze. Szata graficzna dzieła jest szlachetnie prosta, solidna, budząca zaufanie u czytelnika, jak wszystko co wychodzi spod prasy drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, spod rąk Filipowskiego.

Na podziw zasługują przede wszystkim niestrudzeni zbieracze, w wiejskich nieraz warunkach żyjący, którzy na przekór dziennej szarpaninie o byt, realizują swój pięknie pomyślany wkład do kultury ojczystej. Większość z nich to nauczyciele. Szczery szacunek budzi zwłaszcza jeden z najmłodszych, nauczyciel Tacina. Zbiór tego „zbieracza bardzo dokładnego i muzycznie doskonale przygotowanego” (str. 550), a przede wszystkim niestrudzonego, wynosi

obecnie już około 1500 pieśni i tańców. Tom reprezentuje imponujący wysiłek ludzi dobrej woli, gdyż jak dotychczas, żaden z nich (z wyjątkiem oczywiście redaktorów) nie otrzymuje za pracę swą wynagrodzenia.

Należałoby się zastanowić nad przeznaczeniem praktycznym tego pięknego tomu. Popularności nie zdobędzie on — to pewna, — jest zresztą na to za drogi. Winni się jednakże zainteresować nim wszyscy ci, którym dobro pieśniarstwa na sercu leży, ci, którzy kochają język i historię ojczystą — przede wszystkim zaś ludoznawcy, duchowni, nauczyciele wiejscy itp. W książkę tę winny się co rychlej zaopatrzyć wszystkie chóry, szkoły i kompozytorzy.

Należy mieć przed oczyma fakt, że kultury narodowej nie tworzy się na obcych wzorach. Polska pieśń ludowa jest pieśnią naszej ziemi, naszego krajobrazu i naszego ludu, naszej historii i — jak powiada prof. Kazuro — „jest to twór żywy, zbudowany z krwi tętniącego serca”, naszego serca... Każdy, kto naprawdę wielkim był w narodzie, brał tę wielkość z duszy ludu, który przecież najbliżej ożywczej krynicy stoi. Czy nazwiska wielkich budowniczych naszej kultury: Mickiewicza, Chopina, Szymanowskiego i innych tytu, nie mówią o tym głośno?

Tylko na drodze wskazanej przez Norwida — to znaczy „przez podnoszenie ludowego do godności ludzkiego” — osiągniemy pełnię zdrowej, świetnej, własnej kultury.

Jan Ślawiczek

Ks. Józef Bańka, Dekanat pszczyński w czasie reformacji protestanckiej i odrodzenia katolickiego na tle stosunków kościelnych Śląska, Chorzów 1937. Nakład autora (Drukarnia „Dziedzictwa” w Cieszynie), 8^o, s. 104.

Jest to rozprawa doktorska przyjęta przez Radę Wydziału Teologicznego U. J. na podstawie referatów profesorów bpa M. Godlewskiego i ks. T. Glemmy. Rozprawa wyszła spod pióra młodego księdza, miłośnika nauk historycznych od najmłodszych już lat. Pod względem treści i metody, stylu i ujęcia oraz korekty, jest bez zarzutu. Autor opanowawszy metodologię historii, przedstawia rozwój i częściowy upadek reformacji w dekanacie pszczyńskim w sposób, odpowiadający współczesnym wymogom nauk historycznych. Już pierwsze stronicie rozprawy, na których podane zostały materiały biograficzne, zachęcają do uważnego jej przestudiowania. Nie ogranicza się bowiem autor do suchego podawania źródeł drukowanych i niedrukowanych, ale szczegółowo rozpisuje się o nich, zwłaszcza o źródłach archiwalnych. Jeśli chodzi o opracowania, to podaje tylko ważniejsze, nie wymieniając szeregu innych, jego zdaniem mniej ważnych, czego jednak w zasadzie nie pochwala się. Wstęp, to krótki rzut oka na historię dekanatu i ziemi pszczyńskiej, przy czym autor wymienia w porządku alfabetycznym wszystkie parafie, należące do tego dekanatu, który aż do roku 1821 należał do diecezji krakowskiej.

W rozdziale pierwszym podano przyczyny szerzenia się reformacji na Śląsku w ogóle, oraz jej przebieg w księstwach, sąsiadujących z dekanatem pszczyńskim. Rozdział drugi przedstawia zaprowadzenie reformacji w ziemi pszczyńskiej i jej historię w parafiach pszczyńskiego dekanatu. Urzędowe zaprowadzenie protestantyzmu na ziemi pszczyńskiej, przede wszystkim zaś w samej Pszczynie, nastąpiło za barona Karola Promnica w r. 1568, bezpośrednio po objęciu przezeń ziemi pszczyńskiej po katolickim poprzedniku, Baltazarze Promnicu. Z Pszczyny rozszerzył

się protestantyzm na całe „państwo pszczyńskie” w myśl niegłoszonej, jednak faktycznej zasady „cuius regio, eius religio”. W sposób ciekawy przedstawia więc autor rozwój reformacji w parafiach dekanatu pszczyńskiego według ich porządku alfabetycznego, a więc, poza Pszczyną, najpierw opisaną, od Bierunia aż po Woszczyce; parafia w Łędzinach pozostała w czasie reformacji katolicką. W rozdziale trzecim przedstawiono pracę baronów pszczyńskich i duchownych protestanckich wspólnie z dziedzicami nad utrwaleniem luteranizmu w dekanacie pszczyńskim. Ażeby zalegalizować ruch reformacyjny w swoim „państwie”, wydał w r. 1592 baron Zajfryd Promnic dla swojego terytorium ordynację zborową pt. „Plessnische Kirchenordnung”, idącą za wzorem ksiąg w Lignicy, Brzegu, Żeganiu, Cieszynie... Z rozdziału czwartego dowiadujemy się o odrodzeniu katolicyzmu w dekanacie pszczyńskim, zapoczątkowanym w r. 1629, tj. z chwilą ogłoszenia edyktu restytucyjnego przez cesarza Ferdynanda II. I znów w tej samej kolejności wymienione są parafie dekanatu pszczyńskiego, które powróciły co do jednej na łono katolicyzmu. Nie ostała się nawet protestancka kaplica zamkowa w Pszczynie, bo i ona z rozkazu cesarskiego musiała w r. 1660 ulec zamknięciu. O ile nawrót do katolicyzmu w Pszczynie samej dokonał się w znacznej mierze pod naciskiem władz państwowych, o tyle w parafiach wiejskich był on samorządny, albowiem protestantyzm przez swoją surowość i zewanie tradycji nie zdołał zapuścić zbyt głęboko korzeni, zwłaszcza że jednak zbyt często był on połączony z próbami germanizowania kraju. W krótkim zakończeniu autor opisuje stosunki religijne w dekanacie pszczyńskim po reformacji aż do 1742, kiedy dla protestantyzmu na Śląsku zaświtała nowa

era rozwoju dzięki zbrojnemu opanowaniu Śląska przez pruskiego Fryderyka II.

Dzieło kończy się streszczeniem niemieckim pt. „Das Plessner Dekanat zur Zeit der lutherischen Reformation und der katholischen Restauration unter Berücksichtigung der Kirchenverhältnisse Schlesiens”. W formie załączników podał autor ordynację zborową Zajfryda Promnica z r. 1592 w dwójakim ujęciu; obydwa dokumenty są oczywiście w języku niemieckim. Wykaz osób i miejscowości, staranny i dokładny, obejmuje tylko sam tekst rozprawy, a szkoda, bo powinien był także objąć liczne przypisy... Razi również miejscami i to, że autor posługuje się niemieckimi nazwami miejscowości, które z powodzeniem mógł był zastąpić polskimi (np. Münsterberg, münsterberski, Falkenberg itp.). Tak samo ogólniej należało się posługiwać tymi nazwami w streszczeniu, w którym zauważyć się daje brak konsekwencji w ich mianowaniu (str. 81—82) oraz zbyt szafowanie niemieckim brzmieniem polskich miejscowości. Gest ten nie był nikomu potrzebny. W przyszłości należałoby również ustalić nazwiska niektórych pastorów protestanckich, gdyż nie są one zgodne w omawianej rozprawie w porównaniu z innymi opracowaniami (np. nazwiska proboszczów tyskich). Podobnie należałoby ustalić czasokres ich duszpasterstwa.

Rozprawa ks. Bańki o charakterze raczej ogólniejszym nie wnika w różne szczegóły, łączące się z tematem. Nie traci bynajmniej na tym, bo jeśli by jej autor chciał zająć się szczegółikami, trzeba by wydać tomy całe, a to przekracza ramy pracy doktorskiej. Może jednak być drogowskazem dla innych do dalszych badań nad rozwojem reformacji w tej części Śląska, a także sam

autor — spodziewamy się — wróci jeszcze do tego tematu.

Poza wymienionymi drobnymi zresztą brakami, rozprawa ks. Bańki jest poważnym wkładem do historiografii kościelnej Śląska i jako taka zasługuje na przychylne przyjęcie jej przez polski świat naukowy. Autorowi zaś po tym pierwszym sukcesie życzymy dalszych na ulubionej przez niego niwie dziejów kościoła śląskiego.

Fr. Szymiczek

Gustaw Morcinek, **Maszerować!**.. Warszawa 1938, Gebethner i Wolff (Druk. F. Wyszyński i Ska, W-wa), 8^o, str. 113, tablic 8. Okładka A. Wajwoda.

Dwadzieścia długich lat czekaliśmy na ziszczenie się cud-słów Marszałka Piłsudskiego: „Śląsk Cieszyński jest polski i przy Polsce pozostanie”. Dla Polaków sprzed Olzy był to okres czynnej i wytężonej pracy: odbudowy, budowy i przebudowy na każdym odcinku życiowym państwowego organizmu. Był to okres „wyścigu pracy” i „podciągania Polski wzwyż”.

Inaczej było za Olzą. Tu bracia nasi nieśli jakby krzyż na Golgotę i nieraz potykali się na kamienistej drodze bezsilni. Tu przybijani byli do tego krzyża rozpalonymi gwoździami szykan czechów. A przecież wytrwali! Doczekali się. Nie upadli na ciele ani na duchu. Nie zaparli się tej, „co nie zginęła”.

Autor, laureat śląskiej nagrody literackiej, przedstawia nam w swej ostatniej powieści te zmagania się, upadki i nowe porywy młodej duszy Karola Bogacza. Szkoła czechy wychowała go w nienawiści do wszystkiego co polskie. Życie realne pokazuje mu inne oblicze swej ziemi nadolziańskiej. Stary Sobol jest dlań nauczycielem prawdy. On zaszczepia w nim miłość do Wiel-

kiego Marszałka i każe czekać na „chłopców” Jego, którzy przyjdą w chwale i triumfie, w hełmach bojowych, z karabinami na ramionach. Słowa te przenikają pokost czechskiego fałszu i dosięgają gorącej Karolowej duszy. Występuje z czechów organizacyj, za co czeka go wydalenie z kopalni. Zaczyna się teraz poniewierka, poniżenie, żal. Węgłem, uzbieranym na dogorywającej hańdzie, nie używi matki i chorego rodzeństwa. Szuka pracy w całym zagłębiu. Wszędzie bramy zamykają się przed nim. Jego chytre podsuwanie czechów legitymacji nic nie pomaga. Dzięki przypadkowi uzyskuje pracę w hucie, jako Czech. Kiedy jednak urzędnik czechów szyderczo o Marszałku Piłsudskim się wyraża, Karol policzkiem zamyka obelżywe usta, stając w obronie godności ludzkiej i narodu uciskanego. Wraca wtedy do kochanego Witka (Regera) i zaciąga się w jego drużyny powstańcze, samorządnie nękać na wielu odcinkach straż i żandarmerię czechów. W jednej z wrześniowych przepraw granicznych Reger ginie. W ciepłych i serdecznych słowach opisuje Autor jego bohaterską śmierć w ogniu karabinów maszynowych. Nie doczekał wyzwolenia... Rekonwalescent Bogacz widział jednak na własne oczy, jak „chłopcy” na rozkaz marszałkowski „Maszerować!” ruszyli zwartymi kolumnami wśród radosnych okrzyków serdecznych łkań ludzkich, w zamieci kwiecia. Wyszeptał wtedy wzruszony: „A więc doczekał się mój Śląsk powrotu do Polski”.

Według litery prawa patriotyzm Karola surowo byłby sądzony jako zdrada. Karol jednak nie jest odszczepieńcem. Jeśli zapiera się polskości, to tylko widmo głodu i nędzy rodzinnej przywołuje mu na usta te słowa. Ale słowa tylko, bo myśli są inne. Myśl buntuje się przeciwko ciemnościom Czechom, a

każe czekać z ufnością na „chłopców” Pana Marszałka. — Podobną walkę przechodziła cała prawie młodzież zaolziańska, zwłaszcza w okręgu górniczym czy hutniczym. Każdy chciał pracy, a każdy był Polakiem nie ze słów, ale z przekonania. I to przekonanie kazało cierpieć i przetrwać lata. Słowa nieraz były krwawe, przeciwne uczuciu, jako wynik bezlitosnej walki z panem głodem: przed nim uginali się młodzi. Uczucia miłości narodu swego nie stały się płytsze, ale stwardniały jeszcze i wyczyściły się z czeskiej „prawdy”. Historia Karola jest dowodem.

Dobrze, że Gustaw Morcinek dał nam tę książkę, jako miłą pamiątkę październikowych dni. Tylko on mógł być wyrazicielem i malarzem tych szczególnych dni Zaolzia. Nie dziwota! Jego to ziemia rodzinna i jego umiłowanie. Nie ma też w książce słów zbędnych, nie ma sztuczności, ale karty życia pełne, pełne radosnych uniesień i łez. Prostota nade wszystko. Tak jak było i nic więcej. Każdy z czytelników przyznać to musi. I każdy częstkę siebie w książce odnajdzie. Powinien. A prócz tego powinna książka ta obiegać Śląsk cały, Zaolzie zaś przede wszystkim, bo pewnie w tej myśli w duszy Autora się poczęła.

Jan Broda (Guty)

Jerzy Probosz, **Wesele górali istebniańskich**, Widowisko regionalne w czterech odsłonach, Cieszyn 1939, Nakładem Redakcji „Zarania Śląskiego” (Drukarnia „Dziedzictwa” w Cieszyńcu) 8°, str. 40.

Ogłaszane w piśmie naszym „Wesele górali istebniańskich” J. Probosza (zob.: Zarania Śląskie, 1937, 243—253; 1938, 35—43, 167—173, 233—239) ukazało się obecnie osobno w formie wydawnictwa, będącego rozszerzoną odbitką z „Zarania Śląskiego”, z okład-

ką i ilustracjami art.-mal. Jana Wacha z Istebnej. Celem uzupełnienia i wyjaśnienia pewnych faktów ze sztuką tą związanych podajemy poniżej ciekawe „Posłowie autora” do jego sztuki. — *Redakcja*.

Pisząc „Wesele górali istebniańskich”, chciałem tylko utrwalić potomnym ten najpiękniejszy prastary ceremoniał obrzędowy góralski. Trzymałem się zasady „świętości nie szargać” i nic też nowego do „Wesela” nie wprowadziłem, uprościłem jedynie gdzieniegdzie rymy i oddałem rzecz całą — jak pisze mój łaskawy przedmówca — „fotograficznie”.

Obrzęd weselny jest tak stary, jak starą jest nasza góralszczyzna. Nikt nie zaprzeczy, że pierwszy gór naszych mieszkaniec nie rekrutował się z amatora — przygodnego turysty, czy też zawodowego trampa, — nie! Pierwszy osadnik w górach, to banita — wygnaniec, człowiek siłą dokonanego faktu ze społeczności ludzkiej wyrzucony i na samotny ciężki bój z srogą przyrodą skazany. Fakt ten ma odzwierciedlenie w „Weselu”. Mimo iż przy „snybach” wszystko „dorzódzone”, to w dzień wesela przed wywodem u pani młodej najsolenniejsz „zapróm dzwyrze” i jeden drugiemu staje się obcy, nieznany. Żonę musi kupić, bo płaci za „winiec”. Nie tylko w dzień wesela młodzi się nie znają. Nie znają się, że tak powiem „oficjalnie” również i przed ślubem. Chłopak młody, zwany u górali „holec”, nie spotyka się z swą ulubioną w dzień, bo by ich obu „gańba było”. Idzie do kochanki tylko w nocy; jak śpią wszyscy, to idzie „na zolyty”. Trwa to czasem długo, lat parę, ale nigdy góral nie idzie na „randkym”, jak mówią dolanie, w dzień, tylko zawsze w nocy. Ma to swoisty urok, ale jest też połączone z niemałymi trudnościami. W „kajzdowych ździorbach” czyli w codziennym ubraniu iść nie wypada; nie-

dzielne ubranie zaś trzeba wynieść po cichu, by ojcowie ani nikt z domowych o niczym nie wiedział. Iść trzeba w noc ciemną lasem czy łąką. Omijać trzeba miejsca, „kany straszi, kany sie utopce kąpią i kany nocnice chodzą”. Dać trzeba „pozór”, aby nic nie postraszyło. Zważać też trzeba na zazdrosnych rywali, aby co nie „wchynyli”... Ten, kto po raz pierwszy idzie na „zolyty”, musi się okupić, musi dać starszym poczesne, bo by go zamknęli do „chlywka” ku świniom.

„Wesele” napisałem przed laty dzieściu. Na scenie po raz pierwszy znalazło się w roku 1928, w Czytelni Katolickiej w Jabłonkowie. Przedtem przejść musiało cenzurę „okresního hejtmanstvi w Českém Těšíně”. Widziały go też sceny cieszyńskiego teatru, Katowic, Chorzowa, Wisły...

Obecnie, w dobie odrodzenia regionalizmu, idzie na półki księgarskie jako pierwsza książeczka, pisana śląską „rzecóm goralskóm”. Niech idzie na wieczną rzeczy pamiątkę, niech potomnym świadczy, że gwara naszych górali, to język staropolski Reja i Kochanowskiego, naznaczony tu i ówdzie wpływem słowacko-czesko-niemieckim, czy nawet węgierskim. Niech zwyczaj święty góralski, który przetrwał wieki i zwyciężył tyle obcych nacji — trwa na wieki, ku chwale naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Niech nieudolna moja praca pociągnie za sobą nowych szermierzy pióra, co inne jeszcze zwyczaje uratują przed okrutnym spustoszeniem nowoczesnej kultury, która drzwiami i oknami pcha się na gwałt do naszych cichych górskich uroczysk.

Jan Kaspro wicz, **Hymnen**, Aus dem Polnischen von Jan Wypler, Katowice 1938 (Rotografiert im Selbstverlage des Uebersetzers mit „Gestetner

Durotype No. 62” Polskie Two Gestetner Sp. z o. o. Warszawa). S. 2, XX, 75, 11 nlb.

Prace Jana Wyplera są pod każdym względem godne uznania. W całości kształcie swej twórczości literacko-naukowej posiada już autor zarówno utwory oryginalne, jako też przekłady arcydzieł literatury polskiej i z chińskiego, oraz rozmaite studia i rozprawy. M. in. napisał Wypler studium z dziedziny genealogii, mianowicie historię rodu Wyplerów, w której na specjalną uwagę zasługuje rozdział o wsi Gardawicach.

Jak dotychczas, prof. Wypler zmuszony jest wydawać swoje prace własnym kosztem. A przecież wydania utworów największych naszych pisarzy w tłumaczeniu niemieckim mogłaby się podjąć jakakolwiek firma wydawnicza, mająca nieprzeciętne aspiracje. Przypomnienie to wydaje się tym bardziej aktualne, że autor przygotowuje obecnie z okazji jubileuszu Juliusza Słowackiego wybór jego utworów: „Anhelli”, „Król Duch” i „Genezis z ducha” (a więc utworów do przełożenia bardzo trudnych), które opatrzy niemiecką rozprawką i — wspólnym tytułem: „Der mystische Słowacki”.

Ostatnio dał się prof. Wypler poznać jako tłumacz Kaspro wicza. Przekład „Hymnów” poprzedził tłumacz słowem wstępnym, traktującym o życiu i twórczości Kaspro wicza; przeprowadza w nim zwięzłą lecz wnikliwą analizę utworów poety, notując niejednokrotnie spostrzeżenia bardzo trafne i świeże; uważa mianowicie, że określenie postawy duchowej poety w jego hymnach mianem „prometeizmu” jest właściwie nieścisle, ma bowiem w sobie odcień semicki, coś z biblijnego Hioba; bunt wyrasta tutaj z podłoża głęboko religijnego (a nie z pogańskiej bezbożności), a w końcowej swej fazie przechodzi w rezygnację i pokorę.

Przed prof. Wyplerem przełożył „Hymny” na język niemiecki — Stanisław Przybyszewski. Jego przekład zawiera jednak poza niedociągnięciami formalnymi nawet błędy językowe, na które Wypler zwrócił uwagę w swojej rozprawce wstępnej. Przybyszewski w zupełności nie uwzględnił rytmiki utworów Kasprowicza, zużywając nadmierną ilość słów do wyrażenia myśli zwyciężych. Można by mu tę dowolność wybaczyć, gdyby przekład jego zyskiwał przez to na wyrazistości obrazów lub wierności. Rozlewności Przybyszewskiego nie można jednak uzasadnić ani wiernością tłumaczenia, które jest wolne, ani dobrze oddaną obrazowością, która przy większej kondensacji słowno-myślowej byłaby bardziej wyrazista.

Zestawienie oryginału z obu tłumaczeniami powiedziałoby więcej, niż wszelkie analizy. Oto przynajmniej jeden fragment dla porównania:

Kasprowicz:

„Szum się wielki stał dokoła,
kiedy surma archanioła
na ostatni Sąd zawoła.
Głos rozlega się ponury,
jak grzmot leci złotopióry,
z dolinami równa góry.
Drżny stworzona światów dusza,
a on głębię mórz wysusza,
kości wieków w grobach rusza.
Gwiazdy z orbit wytrąciła
archanielskiej trąby siła,
już rozwarła się mogiła.
Idą na się zmartwychwstali,
ogniem buntu świat się pali,
tłumy broczą w krwawej fali.
Z wyciem hien, z rykiem lwów,
łkając, jęcząc, grożąc, klnąc,
pędzi tuman ludzkich żądz...”

Przybyszewski:

„Ein furchtbares Brausen entstand,
da die eherne Posaune des Erzengels

zum letzten Gericht berief.
Und die finstere Donnerstimme
fliegt wie ein Blitz mit goldnen Flügeln
und gleicht die Berge mit den Wäldern aus.
Es bebt die zitternde Seele der Welten,
aber sie trocknet die Tiefen der Meere,
die Gebeine der Jahrhunderte weckt sie in
den Gräbern auf.

Die Macht der Posaune des Erzengels
hat die Sterne aus ihren Kreisen geworfen
und schon ist das Grab aufgebrochen.
Die Auferstandenen stürzen sich aufeinander,
mit dem Feuer des Aufruhrs brennt die Welt,
unzählbare Mengen waten in den blutge-
tränkten Strömen.

Mit dem Heulen der Hyänen, mit dem Brül-
len der Löwen,
winseind, stöhnend, drohend, fluchend
rast die Windsbraut der menschlichen Lei-
denschaft heran.

Wypler:

„Ungeheurer Sturm erscholl,
als der Engel Tuba quoll,
die den Richttag künden soll.
Düstrer Donnerton aufgellt,
goldbeschwingtem Blitz gleich fällt,
ebnet Tal und Bergeswelt.
Weltallseele bebt vor Graus,
Meere dorrt das Brausen aus,
weckt Gebein im Gräbern-Haus.
Sterne aus der Bahn gerafft
durch der Engel Tuba Kraft,
Grabeskammer weit aufklafft.
Wütend kämpft, was ihr entkam,
Aufruhrbrunst die Welt entflammt,
Mengen waten blutverschlammt.
Mit Geheul, mit Leugebrüll,
vor mit lästerndem Gestöhn,
rast der Leidenschaften Föhn...”

Nie trudno zauważyć, że tam, gdzie u Kasprowicza są rymy żeńskie, w tłumaczeniu Wyplera widać przeważnie rymy męskie. Przekład na tym nie traci. W niektórych miejscach należało jednak dla płynności rytmicznej zachować sposób ujmowania Kasprowicza.

Monotonia rytmu, celowo zastosowana np. w urywku: „Cicho, zwolna wóz się toczy...” itd. („Langsam wankt der Wagen durch den Schlick...”) nie została przez tłumacza zachowana, co przy rytmie żeńskim mogło wyjść dobrze; prawdopodobnie tłumacz chciał zwrócić większą uwagę na plastyczność rysunku niż na melodię.

Ogółem jednak przekład nie budzi żadnych zastrzeżeń, bo wysunięte jest błahostka. Zresztą zalety przekładu prof. Wyplera w zestawieniu z innym tłumaczeniem występują aż nadto.

Al. Widera

Bronisław Stiasny, **Cieszyn i Zaolzie**, Przewodnik wydany z okazji zajęcia Śląska Cieszyńskiego za Olzą, Cieszyn [1938], Nakładem własnym — Drukarnia Cymorek i Ska, str. 39, 9 nlb.

„Przewodnik” — oczywiście w cudzysłowie i to dosłownie w cudzysłowie — p. Bronisława Stiasnego należy do tego rodzaju publikacji, które należy publicznie piętnować jako niechlujne. Przemilczenie byłoby aktem pobłażliwości wobec autora. Wspaniały tytuł „Cieszyn — Zaolzie”, rozrzewniające słowo wstępne markują pozory jakiegś uczciwej pracy, rzetelnego wysiłku dla nędznej, szczupłej, niedokładnej, gazetarskiej treści, jaka mieści się na 39 stronicach ohydneho druku. Pomijam zupełnie tandetne i zatarte ilustracje. Cóż to za „przewodnik”! Kogo „przewodzi”, gdzie i jak? Ani po Cieszynie, a tym mniej po Zaolziu. Kilka słów o dziejach historycznych Cieszyna, 15 wierszy o Fryszacie, tyleż samo o Jabłonkowie. To niemal wszystko! Jeżeli autor chciał już cytować ważniejsze ośrodki, to dlaczego pominął Karwinę, Orłowę, Łazy, Bogumin! Cóż przyjdzie turyście z 5 zdań o lasach, albo 9 zdań o kolejach? Chodzi przecież o trasy,

szlaki, połączenia komunikacyjne, rozmieszczenie dróg turystycznych. Cenniejszymi mogły być informacje, dotyczące szlaków wycieczkowych, ale znów podane są tak niedokładnie i dorywczo, bez wskazania punktów wyjazdowych, dojazdowych, że nieznający terenu absolutnie nie zorientuje się w całości. Szkoda zresztą rozwodzić się dłużej. Autor przyznaje się, że zredegował „przewodnik” w ciągu kilku dni. Niestety, niestety... Dla kogo? Dla zwiedzających Cieszyn, Zaolzie? Chyba nie. Nie przypuszczam, aby autor był aż tak złośliwy i chciał sobie zakpić z uczciwych turystów.

Znacznie gorzej od ujęcia przedstawia się sprawa błędów rzeczowych, ortograficznych i stylistycznych. P. Stiasny wynalazł na Zaolziu wieś „Śmiłów” (str. 16), obok Jabłonkowa „Nawsi” i „Nawsie” (str. 20), poinformowany jest dokładnie o jakimś wielkim zwycięstwie, które miał odnieść Franciszek Ksawery Latinik „nad czeskie mi wojskami”. Czasów, kiedy stamtąd i stąd pisało się osobno i przez z, to chyba sam autor nie pamięta. Chociaż przydałoby mu się przypomnieć pisownię niekoniecznie nową, nie. (To cię trzepnę tak po łbie, aż proformę wspomnisz sobie. Fredro). Cóż mówić o języku, stylu?! Drobne próbki: Wśród Polaków szerzy się „ewangelizm” (str. 16), obok wyznań religijnych „znajdują się okultne przekonania”, „mimo kilkakrotnie liczniejszego wojska czeskiego góruje zwycięstwo polskiego wojska” (str. 16), Jabłonków jest „jedną z najstarszych osiedli”, jego położenie jest malownicze „dzięki otaczających gór”, z Girowej widać „jak kolej znika w tunelu, jakby go ziemia zagarnęła, by go znów wypuścić za chwilę w innym miejscu” (str. 21). Chyba dosyć! To rzeczy skandaliczne, nadające się jedynie do omówienia w rubryce „Z oslej

łaki". Wolno autorowi nabierać naiwną publikę i brać za swoje elukubracje 80 gr czy ile tam, ale nie wolno mu plugawić i zniekształcać języka polskiego tu w Cieszynie, gdzie ruch wydawniczy od dawna jest żywy, gdzie wyszło tyle pięknych i wartościowych rzeczy.

Tak. To, że ktoś brał udział w uroczystościach z okazji przyłączenia Zaolzia do Polski, nie upoważnia go jeszcze do pisania przewodnika po Zaolziu. Trzeba mieć odpowiednie kwalifikacje. Zapowiedź autora, że w przyszłości ma zamiar wydać „obszerniejszą pracę na tym polu”, jest groźna. Cieszyńsiacy gotowi zainicjować zbiórkę na jego rzecz, byle nie wprowadzał zamiaru swego w czyn. Byłoby to fatalne!

Franciszek Czapla

Ziemia, Organ Polskiego Twa Krajoznawczego, Red. A. Patkowski, r. XXIX (1939) nr 1.

Pierwszy tegoroczny zeszyt „Ziemi” otwiera reprodukcja obrazu Aleks.

Mroczkowskiego „Zawrat” i sonet o Zawracie Franciszka Nowickiego. W dziale „Życiorysów i wspomnień” pisze o Nowickim, poecie tatrzańskim — Ta deusz Mikulski. Rozważania na temat istoty krajoznawstwa podaje wiceprezes PTK i redaktor „Ziemi” A. Patkowski w art. pt. „Istota, idea i program naszego ruchu krajoznawczego”, Witold Mileski pisze „Po odzyskaniu nowej granicy między Polską a Słowacją”, Jerzy Młodziejowski opisuje wycieczkę do naszych dzisiaj wsi Suchej Góry i Głodówki w art. pt. „Z Orawskiej dziedziny”, dr Adam Gadomski informuje o „Najmniej znanej Dolinie Szerokiej w odzyskanych Tatrach Jaworzyńskich”. W dziale „Materiałów i notatek krajoznawczych” zamieszcza „Ziemia” artykuły Miecz. Cholewy (Przysietnica — górską wieś ziemi Sądeckiej) i dra Mariana Koczwały (Alabastrowa Góra pod Niżniowem). Pokazny zasób wiadomości zawiera „Przegląd muzealny”. Zeszyt, ilustrowany 31 zdjęciami fotograficznymi, zamykają działy: Z piśmiennictwa, Bibliografia krajoznawstwa polskiego i Kronika.

Kronika

Życie kulturalno-naukowe Śląska

(Październik-grudzień 1938)

Odczyty

Piątki Instytutu Śląskiego o. Sezon odczytowy 1938-39 Instytutu Śląskiego rozpoczął się z pewnym opóźnieniem z powodu przeniesienia się Instytutu Śląskiego do nowej siedziby przy ul. Marszałka Piłsudskiego 42 i niewykończenia na czas sali odczytowej. Pierwszy odczyt odbył się 12 XI w związku z uroczystym otwarciem Domu Towarzystw Naukowych. Prof. U. J. dr J. Smoleński wygłosił odczyt pt. „Śląsk w nowych granicach”. Następne wykłady odbyły się: 25 XI dr. M. Korowicza „Przed nowym spisem ludności na Śląsku Opolskim”; 2 XII Rektora U. J. dr. T. Lehr-Spławińskiego „Plemiona słowiańskie na pograniczu Niemiec w wiekach średnich”; 12 XII prof. U. S. B. dr. St. Swianiewicza „Polityka gospodarcza III Rzeszy i Sowietów”; odczyt doszedł do skutku staraniem Instytutu Śląskiego i Koła Ekonomistów; 16 XII G. Morcinka „O Polakach w Niemczech”.

Zrzeszenie Stowarzyszeń Inżynierów i Techników Woj. Śląskiego, Polskich Inż. Górn. i Hutniczych, Hutników Polskich oraz Mechaników Polskich urządziło dwa cykle wykładów dokształcających. Pierwszy cykl obejmujący 7 wykładów pod ogólnym tytułem „Psychologia i zasady kierownictwa oraz organizacja pracy zespołowej” z udziałem: prof. Mysłakowskiego, płk. Poświty, inż. Słowińskiego, dyr. Wieniawy-Chmielewskiego, dra Mosdorfa, inż. Wiśłockiego oraz Kom. Pol. W. Śl. Żółtaszka, odbył się w czasie od 14 X do 26 XI.

Drugi cykl, obejmujący również 7 wykładów z dziedziny energetyki i go-

spodarki cieplnej, odbył się w czasie od 19 X do 30 XI. Prelekcje wygłosili: inż. St. Gąsiorowski, prof. dr R. Dawidowski, inż. T. Maryański, inż. W. Tomaszewski oraz inż. Zd. Ficke.

Poza tym odbyły się kolejno w Katowicach i Chorzowie następujące odczyty: 19 X w teatrze katowickim ks. dra F. Machaya „O znaczeniu Spisza, Orawy i Czaładeczyzny dla Polski”; 25 X staraniem Tow. Prawniczego, prof. U. J. dr. Langroda „Tak zwane milczenie władzy administracyjnej i środki zaradcze w prawie porównawczym”; 25 X staraniem Polskiego Stow. Inż. i Techn. Woj. Śl. G. Morcinka „Górnictwo w literaturze polskiej”; 25 X staraniem Unii Polsk. Przemysłu Górn.-Hutniczego w Katowicach prof. dr. J. Piechałkiewicza „Statystyka a księgowość”; 15 XI staraniem Koła Śl. Zw. Bibliotekarzy Polskich dyr. Fr. Popiołka „O księgozbiorach cieszyńskich”; 18 XI staraniem Stow. Polsko-Angielskiego ambasadora W. Brytanii J. E. Sir Hovard W. Kennarda „O charakterze angielskim”; 22 XI staraniem P. Stow. Inż. i Techn. W. Śl. dra K. Popiołka „Śląsk Zaolziański, jego dzieje i mieszkańcy”; 23 XI staraniem Oddz. Śl. Polsk. Tow. Statystycznego i Koła Ekonomistów doc. dra W. Ormickiego „Podział Śląska na regiony gospodarcze”; 23 XI staraniem Tow. Lekarzy Polskich na Śl. dr. K. Sęczyka „Co wiemy o nowotworach i jakie są wyniki nowoczesnego ich leczenia”; 29 XI staraniem Oddz. Śl. P. Tow. Przyrodn. im. Kopernika T. Bocheńskiego „O stratygrafii warstw węglowych Zagłębia Karwińskiego”; 29 XI staraniem Wyższ. Stud. Nauk Społ. Gosp. w Katowicach dra E. Kostki „Administracja wczoraj i dziś”; 9 XII staraniem tow. Alliance Francaise w Katowicach prof. Clement z Inst. Francuskiego

w Warszawie „Jules Romains”; 13 XII staraniem P. T. T. wspólny odczyt inż. B. Krzemieńskiego i J. Lipowczana o turystyce na odzyskanych terenach Zaolzia i Karpat Wsch.; 14 XII staraniem P. Stow. Inż. i Techn. W. Śl. w Chorzowie inż. L. Guziura „Zaolzie, jego ludność, bogactwo naturalne, przemysł i znaczenie dla Polski”; 17 XII notariusza dra St. Kipy „U źródeł niedoli gospodarczej wsi polskiej”; 17 XII staraniem Tow. Filozoficznego na Śl. dr. St. Druszkowskiego „Typy myślenia w filozofii prawa”; 19 XII staraniem Tow. Prawniczego prof. dr. E. St. Rapaporta „Teoria i praktyka skazania warunkowego w Polsce”; 20 XII staraniem Oddz. Śl. P. Tow. Przyr. im. Kopernika dra A. Wrzoska „Nowa granica polsko-czeska pod względem przyrodniczym”.

Teatr, opera, operetka, taniec

Teatr katowicki wystawiał w omawianym okresie dramat K. Brończyka „Król Stefan” (od 13 X), komedię muzyczną P. Armona i L. Marchanda „Krawiec w zamku” (od 3 XI), komedię Bus-Fekete „Jan” (od 17 XI), komedię Fredry „Pan Jowialski” (od 14 XII) oraz rzecz J. Iwaszkiewicza „Lato w Nohant” (od 20 XII).

Oprócz występów w Katowicach odbywały się występy gościnne we wszystkich ważniejszych miejscowościach województwa śląskiego i Śląska Opolskiego.

W związku z przyłączeniem Zaolzia zorganizował teatr katowicki gościnne występy na tamtejszym terenie. Dla ułatwienia obsługi Zaolzia i Śląska Cieszyńskiego przystąpiono do zorganizowania w Cieszynie filii teatru katowickiego z osobnym zespołem i reżyserem. Na tymczasowe pomieszczenie wyznaczony został gmach, będący własnością Niem. Twa Teatralnego w Cieszynie.

Sezon operowy zainaugurowany został w Katowicach 4 X operą Gounoda „Faust”; 6 X powtórzono tę samą operę w Chorzowie. Następne przedstawienia operowe odbyły się 8 XI w Katowicach, oraz 9 XI w Chorzowie. Wystawiono operę Verdiego „Aida”. Z okazji stoletniej rocznicy urodzin Bizeta odbyły się przedstawienia opery „Carmen” 6 XII w Katowicach i 8 XII w Chorzowie.

Krzewieniem kultury teatralnej wśród najmłodszych zajmuje się teatr szkolny w Chorzowie p. n. „Płomyk Śląski”. Teatr istnieje już trzeci rok. Bieżący sezon teatralny zaczął się w dniu 16 XI wystawieniem bajeczki Rzący pt. „O zaklętej królewnie”.

Z obcych zespołów występował na Śląsku zespół „Teatru 8,15” z Warszawy z operetką J. Jarno „Krysia Leśniczanka” (w Katowicach 17 i 18 X, w Chorzowie 23 X). Zespół b. art. Teatru Małickiej z Warszawy bawił na Śląsku z komedią muzyczną Lothara i Aschera „Odrobina miłości”. Zespół dał przedstawienia w Chorzowie 20 XI, w Cieszynie 21 XI i w Katowicach 28 XI. Zespół operetki popularnej pod dyr. B. Faleńskiego dał dwa przedstawienia 3 i 4 XII w Chorzowie, wystawiając operetkę J. Straussa „Baron Cygański”. Jedyną imprezą poświęconą tańcowi artystycznemu był występ „Baletu Parnella” w Chorzowie 10 XII.

Koncerty

Na czoło tej kategorii imprez wysuwają się trzy poranki symfoniczne Twa Muzycznego w październiku, listopadzie i grudniu. Na bogaty program tych poranków złożyły się utwory J. Ch. Bacha, Debussy’ego, Eckiera, Franka, Haydna, Kulczyckiego, Mozarta, Szabelskiego i Tellemanna. Wspólnymi siłami powiększonej orkiestry symfonicznej Twa Muzycznego, połączonych chórów „Echo” i chóru Urzędników Magistratu Katowickiego, kwartetu solowego oraz

L. Stefańskiego (fortepian) powtórzone IX symfonię Beethovena (22 XI). Ten sam koncert w skromniejszych rozmiarach wykonało Tow. Muz. Teatr. Polsk. Bielsko-Biała w strzelnicy miejskiej w Bielsku (13 XII). Orkiestra symfoniczna Tow. Muzycznego w Katowicach pod dyr. prof. Zb. Dymmka uświetniła także otwarcie kina „Zorza” w Domu Powstańców (15 XI) godzinny koncertem; wykonano utwory Moniuszki, Noskowskiego i Wagnera.

Poza tym odbyło się w teatrze katowickim kilka koncertów w wykonaniu solistów. Henryk Sztompka (1 XI) i J. Friedberg (16 XII) dali dwa koncerty poświęcone twórczości Fryderyka Chopina. Niewidomy pianista Imre Ungar wystąpił (15 XI) z utworami Bacha, Beethovena, Chopina i Mozarta; 13 XII odbył się występ Ireny Dubiskiej. Znakomita skrzypaczka odtworzyła utwory Paganiniego, Brahmsa, Wieniawskiego i Statkowskiego. Para śpiewaków włoskich Toli dal Monte i Luigi Montesanto wystąpiła 21 XI z koncertem złożonym z arii operowych oraz pieśni neapolitańskich i weneckich. W konserwatorium odbył się 4 XII popis śpiewaczy śpiewaczki francuskiej Marie Beronita. — Pomijając liczne występy miejscowych kół śpiewaczych w różnych miejscowościach Śląska, stojących często na bardzo wysokim poziomie, wspomnieć tu wypada o występie chóru „Echo” z Krakowa pod dyrekcją B. Wallek-Walewskiego w Cieszynie w hotelu „Polonia” (26 XI), oraz o „Turnieju śpiewaczym” chórów pracowników Wspólnoty Interesów, który odbył się 11 XII w sali teatru katowickiego.

Wystawy

Stosunkowo największym rozgłosem cieszyła się w ubiegłym kwartale „I Wystawa Fotografiki Śląskiej”, zorganizowana przez Śląskie Towarzystwo Miłośników Fotografiki i Związek Propa-

gandy Turystyki Woj. Śląskiego. Wystawę urządzono w salach recepcyjnych Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, w czasie od 1—30 XI. Pierwotnie czas trwania jej był zamierzony na 2 tygodnie, został jednak przedłużony z powodu znacznej frekwencji. Organizatorowie wydali specjalny katalog z artykułami J. Bułhaka i G. Morcinka oraz kilkunastu reprodukcjami najlepszych prac.

W salach recepcyjnych Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego odbyła się także wystawa obrazów Adama Siemianowicza w czasie od 9—23 XII. W grudniu również, w sali Katowickiego Koła Towarzyskiego przy ul. 3 Maja 11, odbyła się wystawa portretów Bolesława Barbackiego. — W warunkach bardzo nieodpowiednich odbyła się w czasie jesiennych targów katowickich wystawa obrazów malarza górnośląskiego, Franciszka Sikory z Piotrowic. Kilkanaście płócien tego artysty rozwieszono na balkonie hali I, gdzie rzadko kto je odnajdywał.

W cieszyńskiej części województwa śląskiego odbyły się dwie wystawy malarzy polskich. W listopadzie odbyła się wystawa w Bielsku, obejmująca dzieła Bunscha, Chwieruta, Glasnera, Grabowskiego, śp. Lesieckiego i Stelera. W grudniu odbyła się wystawa w Cieszynie, w hotelu „Polonia”. W Rybniku odbyła się w grudniu, staraniem Powiatowego Komitetu Pomocy Zimowej, wystawa 500 obrazów polskich malarzy. Wystawa objęła dzieła Axentowicza, Fałata, Filipkiewicza, Jarockiego, Kossaka, J. Malczewskiego, Fr. Pautscha, Pochwalskiego, Wyczółkowskiego, Wodzinowskiego, Żmurki i innych.

Różne

Dnia 12 XI odbyło się uroczyste otwarcie Domu Towarzystw Naukowych w Katowicach z udziałem inicja-

tora tej instytucji Wojewody Śląskiego dra Michała Grażyńskiego. Aktu poświęcenia dokonał ks. prałat E. Szramek. Dom mieści się przy ulicy Marszałka Piłsudskiego 42. Pierwsze piętro zajmuje Instytut Śląski. Na parterze mieści się sala odczytowa oraz siedziba Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku. Poza tym znalazły tu pomieszczenie następujące towarzystwa naukowe: Koło Ekonomistów, Towarzystwo Filozoficzne na Śląsku, Polskie Stowarzyszenie Kobiet z Wyższym Wykształceniem — Oddział Śląski, Śląskie Towarzystwo Literacko-Artystyczne, Towarzystwo Naukowej Organizacji i Kierownictwa, Polskie Towarzystwo Przyrodników im. M. Kopernika — Oddział Śląski, Polskie Towarzystwo Statystyczne — Oddział Śląsko-Dąbrowski, oraz redakcja „Zarania Śląskiego”.

W Domu Towarzystw Naukowych został z dniem 16 listopada otwarty Sekretariat Towarzystw Naukowych. Sekretariat czynny jest codziennie od godz. 18—21. W czasie dyżurów czynna jest czytelnia, dostępna dla członków Towarzystw Naukowych.

Grupa pisarzy śląskich, zrzeszonych w zespole p. n. „Fantana”, zaczęła w ubiegłym kwartale wydawać miesięcznik literacki „Fantana”. W ciągu listopada i grudnia ukazały się dwa numery tego pisma przy znacznym zainteresowaniu prasy pokrewnej i dzienników. Wydawcą jest Zespół Literatów i Artystów „Fantana”. Redakcja spoczywa w rękach Kazimierza Zaremby i Wilhelma Szewczyka. J. H.

Bibliofile śląscy w gościnie u bibliofilów krakowskich

Na zaproszenie Towarzystwa Miłośników Książki w Krakowie bibliofile śląscy, zrzeszeni w Śląskim Towarzystwie Miłośników Książki i Grafiki, udali się w dniu 24 listopada 1938 do Krakowa, by wziąć udział

w wieczorze uroczystym poświęconym pamięci śp. Władysława Anczyca, wielce zasłużonego bibliofila i drukarza krakowskiego. Bibliofile krakowscy z prezesem Kazimierzem Witkiewiczem na czele przyjęli reprezentantów najmłodszej w Polsce organizacji bibliofilskiej jak najserdeczniej i obdarowali ich drukami z własnych wydawnictw.

Po obchodzie ku czci śp. W. Anczyca, który się odbył w siedzibie krakowskich bibliofilów, w Muzeum Przemysłowym przy ul. Smoleńsk 9, bibliofile śląscy wzięli udział w zwiedzaniu jubileuszowej wystawy pamiątek, związanych z historią Państwowego Gimnazjum im. Bartłomieja Nowodworskiego, które w roku 1938 obchodziło 350-letni jubileusz. Wystawa ta była urządzona przez bibliofilów krakowskich i w wspomniany czwartek 24 listopada była specjalnie otwarta dla bibliofilów śląskich. Objaśnień udzielał prof. dr Aleksander Birkenmajer. Dla upamiętnienia wieczoru bibliofile krakowscy wydrukowali dla gości śląskich specjalne zaproszenie na japońskim papierze w ograniczonej ilości egzemplarzy. Tekst zaproszenia jest następujący:

Bibliofile zorganizowani w Śląskim Towarzystwie Miłośników Książki i Grafiki w Katowicach zechcą łaskawie wziąć udział w zwiedzeniu jubileuszowej wystawy pamiątek, związanych z historią Państwowego Gimnazjum im. Bartłomieja Nowodworskiego, które w roku bieżącym obchodzi uroczystości 350-letni jubileusz. Wystawa ta jest urządzona przez bibliofilów krakowskich i we czwartek o godz. 21 będzie specjalnie otwarta dla bibliofilów śląskich. Objaśnień udzielać będzie dr Aleksander Birkenmajer.

O udział w zebraniach, które odbędą się w czwartek, dnia 24 listopada 1938 roku o godzinie 8 wieczorem w Muzeum Przemysłowym przy ul. Smoleńsk 9 i o godz. 9 w Gimnazjum Nowodworskiego, uprzejmie uprasza Zarząd Tow. Miłośników Książki: Kazimierz Witkiewicz, prezes; dr Jahoda Zóttowski, sekretarz. Kraków, dnia 23 listopada 1938 r.

Odpowiedź na list p. A. Podzorskiego w związku z artykułem „Król Wisły”¹⁾

Nie wiedząc przez dłuższy czas o pojawieniu się w „Zaraniu Śląskim” listu p. A. Podzorskiego¹⁾ w sprawie mojego artykułu zamieszczonego w poprzednim roku w „Zaraniu”, teraz dopiero odpowiadam.

Przed wszystkim zaznaczyć muszę, spotkała mnie dziwna niespodzianka. Jak to mówią: „Uderz w stół, a nożyce się odezwią”. Nie miałam zamiaru nikogo moim artykułem dotknąć, nie podawałam nazwisk osób z otoczenia śp. Raszki, — ba, nie dowiadywałam się o nich, uważając to za rzecz mniej ważną, nie obchodzącą mnie. Wiem, że byli i koniec. Ilu i kto? To rzecz przebrzmiała, nieaktualna, po co ją rozmazywać?

Ważna dla mnie chwilowo jako motyw literacki dla odmalowania środowiska, na tle którego żył i działał wójt Wisły. Motyw literacki — niestety oparty na dobrej znajomości psychiki mojego środowiska i prawdzie. Typ śp. wójta Raszki pociągał mnie zawsze jako wybitna indywidualność, przerastająca wrodzoną inteligencją chłopską, rozumem, sprytem i *niezmiennymi* zasadami (niestety, nie filo-polskimi, czyż to jego tylko wina? — ale zasadami) swoje środowisko. Moje stanowisko: żał mi, że ten właśnie typ nie został uświadomiony narodowo przez odpowiednich ludzi, byłaby z niego większa korzyść moralna, niż z tych wszystkich, którzy go później, gdy nastąpiła odpowiednia „koniunktura”, zrzucili w imię Polski z urzędowania. Gdzież ich zasługi na polu krzewienia polskości? Jak to, nie mieć odwagi przeciwstawić się „samowolnej, austriackiej” gospodarce wójta w czasach jego „panowania” w imię idei polskości, czy dobra oświaty, której się było przedstawicielem, — a „po ci-

chu” podstawić krzesła niedołężnemu starcowi, gdy uśmiechnęła się koniunktura? Fe... Nie lubię tchórzostwa. Taż dla idei ludzie walczyli w gorszych warunkach, z gorszą przemocą — co? — umierali nawet!

Co do powiedzenia o typach w rodzaju śp. Raszki, człowieka o poczuciu własnej godności, podpisującego się Raszka, a nie Raschka, choć mu niemiężna imponowała, „Zobuczana”, uparte go chłopca nie umiającego inaczej mówić jak po polsku, a nie znoszącego nowinek o t. zw. Polsce (znowu ten nieszczęsny brak uświadomienia, ciasnota umysłowa powiedzmy, właściwa na tym szczeblu kultury chłopskiej, zatrzymanej w biegu o jakie 300 lat wstecz) — podtrzymuję je zupełnie. Podobny objaw spotyka się choćby w „Placówce” Prusa, pisanej podobno we Wiedniu, w willi „Placówka”. To też coś mówi! Slimak, chłop o umysłowości (ale to zupełnie) naszego wiślanina, także nie wie, że jest Polakiem, przynajmniej w ciągu całej powieści o tym nie wspomina, a jego przywiązanie do roli, siła jedynie chłopskiego uporu — jest ostoją polskości na tamtym skrawku ziemi poznańskiej, zalanej przez Niemców. Czy nie podobnie było u nas, na Śląsku? Ten stan kultury środowiska każe usprawiedliwiać niektóre pociągnięcia urzędowe Raszki, o których wspomina p. Podzorski. Innych w tych czasach nie znano. Jednak co do wartości moralnej tego człowieka, to — stop! „Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni”. Czy mam przypomnieć osobistą sprawę pewnego przeniesienia z Cisownicy do Wisły — załatwioną w Radzie Szkolnej przychylnie dzięki interwencji „króla Wisły” — chyba nie za „łapówkę” — jak? A potem ta niewdzięczność... O umarłych lepiej mówić dobrze. Albo nie tykać ich w ogóle, jeżeli to nie ma służyć „literackim motywom”.

Maria Pilchówna

¹⁾ Zaranie Śląskie, 1938, nr 3, str. 206—207.